

**GEORG MOSER**

**Co  
zmienia  
świat**

**Tłumaczyła Małgorzata Pasieka**

**WROCLAW 1991**

## PRZEDMOWA

„Zmiana” — to jedno z czołowych haseł naszych czasów. Myśli, duch przedsiębiorczości, wynalazki i reformy zmieniają świat, co jednak nie zawsze oznacza jego poprawę. Zebrane tutaj teksty pokazują, jak można zmienić świat naprawdę na lepsze, poprzez zmianę własnego życia.

Moja książka nie traktuje o wielkich czynach, które „tworzą” historię czy też w widoczny sposób popychają ją do przodu. Zajmuję się tymi zmianami, których dokonać może każdy z nas. Umożliwi nam to owa siła, której często nie doceniamy, ponieważ pozostaje w cieniu. Do niej to nawiązuje wyznanie pewnego mędrca: „Wierzę w tajemnicę słabych i cichych. Wierzę w kamień, który wyleciał z procy Dawida. Wierzę w korzenie, które pomimo swej delikatności, kruszą skały. Wierzę w nieobliczalne skutki działania, które służy jedynie dobru i nie kieruje się niczym ponadto” (Ewald Wasmuth).

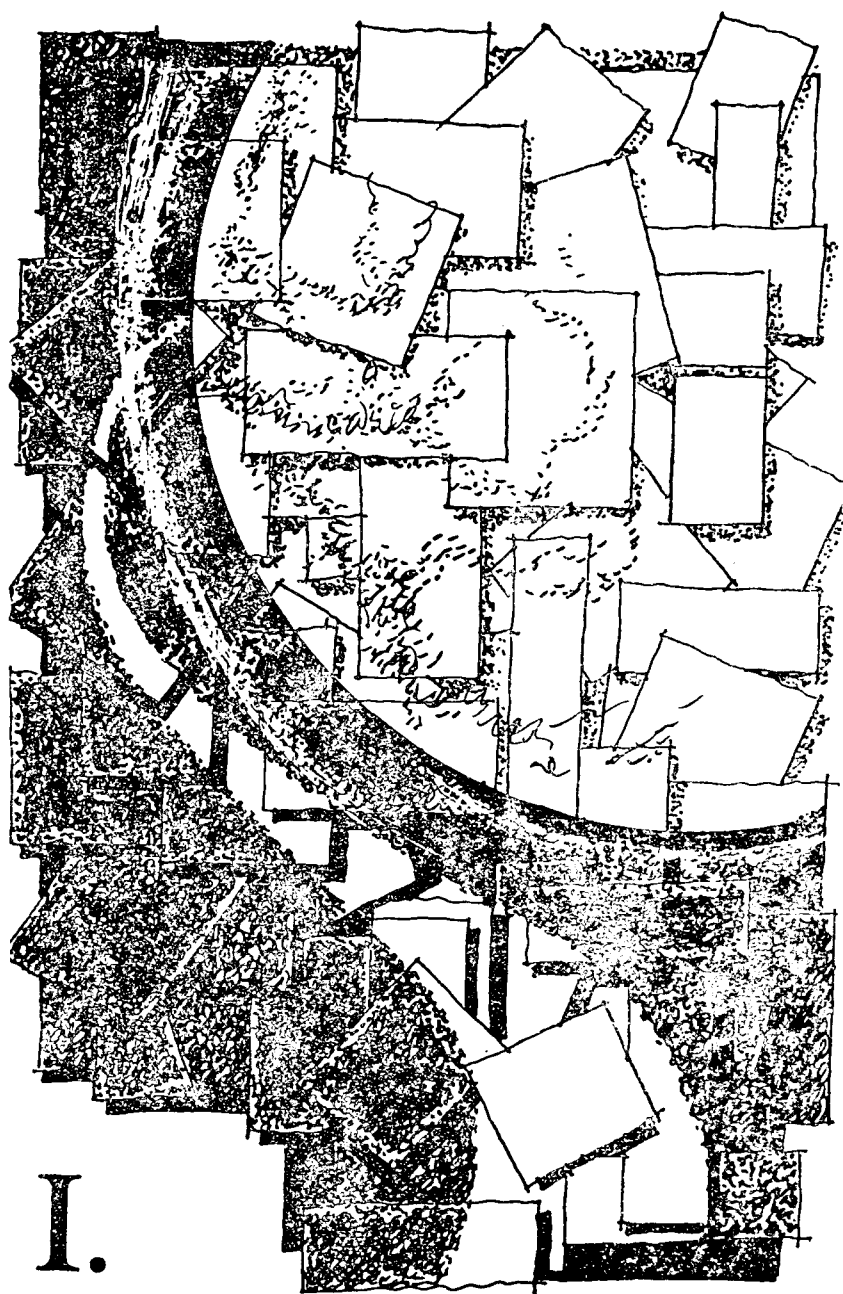
W mojej książce mówię jednak nie tylko o tym, że możemy ulepszać świat kierując się własnym postanowieniem. Moje rozważania w większości poświęcone są potędze miłości Tego, poprzez którego rozpoczęło się nowe tworzenie. Nie potrzebujemy więc popadać w zwątpienie, gdy nasza dobra wola okaże się

zbyt słaba, gdy zawiedziemy lub gdy nasz zapal pozostanie bez rezultatów. W tym miejscu chciałbym odesłać czytelnika do Tego, który wszelką niedoskonałość pragnie uczynić doskonałością i dokończyć wszystko, co rozpoczęte.

Celowo nadałem moim tekstom tak skrótowy charakter, ponieważ pomyslane zostały jako materiał medytacyjny dla tych, którzy nie mają ani czasu, ani sił, ani ochoty na przeczytanie całej, dużej, religijnej książki. Teksty te pochodzą w większości z mów, które wygłaszałem przy różnych okazjach, a kilka z nich nawiązuje do kościelnego kalendarza. Stanowią one tematyczną całość.

Każdy z nas potrzebuje czasem zachęty do zmiany swojego sposobu myślenia i działania. Przede wszystkim powinniśmy jednak odnowić radość, którą czerpiemy z wiary. Próbę stworzenia takiej właśnie zachęty stanowi moja książka, traktująca o tym „jak można zmienić świat”. Teksty do niej zebrałem za radą wydawnictwa, w doborze i redakcji pomógł mi w dużej mierze lektor wydawnictwa Herder.

*Georg Moser*



I.

**ŚWIAT MOŻE  
ZMIENIĆ KAŻDY**

## ŚWIAT MOŻE ZMIENIĆ KAŻDY

*Człowiek i drzewa* to tytuł historii przekazanej nam przez francuskiego pisarza, Jeana Giono.

W 1947 roku zmarł we Francji niezwykle człowiek. Po śmierci swojej żony i jedyne go syna osiedlił się na odludziu. Na kamiennych, górskich zboczach odnalazł kilka zubożałych wsi, nieurodzajną ziemię, beznadziejne warunki życia oraz parę żyjących w izolacji rodzin, które wbrew wszystkiemu próbowały zapewnić sobie byt. Człowiek ten długo zastanawiał się, jak pomóc. Doszedłszy do wniosku, że przyczyną wszelkiego zła jest brak drzew, zaczął zbierać żołądź. Zadając sobie wiele trudu, zakopywał je w popękanej od suszy ziemi. Po trzech latach w ziemi było już sto tysięcy żołądź. Później zaczął sadzić buki i brzozy. Z biegiem czasu pustynny krajobraz zmienił się w jeden z najpiękniejszych lasów Francji. Rzeki powróciły do swoich łożysk i woda ponownie zaczęła nawadniać łąki i pola. Nowe życie powróciło do wsi, a jej mieszkańcy zmienili się nie do poznania. Zapomnieli jednak szybko zarówno o twórczej fantazji, jak i o cierpliwości człowieka, któremu wszystko zawdzięczali.

Cóż jest w nim tak bardzo godnego uwagi? Stojąc w obliczu beznadziejnej sytuacji, nie

powiedział „powinno się tu zasadzić drzewa” czy też „trzeba by coś zrobić”. Nie znał tych zdradzieckich frazesów, które tak gładko płyną z naszych ust. Nie mówił „powinno się” i „kiedyś”, lecz „ja powinienem teraz”. Nie mówił „trzeba by” i „powinno się”, ponieważ źródłem tego typu wypowiedzi nie jest duch twórczy, lecz zły duch miernoty i rezygnacji. Człowiek ten nie szukał wymówek, by wycofać się ze swego przedsięwzięcia, nie próbował zrzucać odpowiedzialności na innych. Najpierw zastanowił się i podjął decyzję, później wytrwale szedł do celu, którego wspaniałości nie pozwalał nawet oczekiwać tak skromny początek.

Już to czyni go porównywalnym z prorokami Starego Testamentu. Oni także nie mawiali „należałoby” i „powinno się”. Ich wypowiedzi miały inną strukturę. Oni mówili „ja” i „wy”; mówili „dzisiaj” i „teraz”.

Takiego proroka widzimy w Izajaszu. Pojawia się w trudnych czasach, zaraz po powrocie swego ludu z wygnania. Zagrożenie z zewnątrz już minęło, teraz rozpoczęła się odbudowa zniszczonego miasta. Dopiero co uzyskana wolność okazała się być dużo trudniejsza, niż obrażenia o niej. Ludzie byli zgnębieni i rozczarowani. Istniało niebezpieczeństwo, iż popadną w rezygnację. Prorok wyszedł wówczas na drogę i obwieścił: „Duch Jahwe, Pana, nade mną, bo Jahwe mnie namaścił. Posłał mnie, by głosić nowinę ubogim, by opatrywać rany serc złamanych... aby pocieszać wszystkich zasmuconych” (Iz 61, 1d).

Tego rodzaju posłannictwo jest konkretne i życiowe. Ludzie mogą mówiącego trzymać za

słowo, ponieważ mówi on „powiniennem”, a nie „powinno się”, ponieważ mówi „teraz”, a nie „kiedyś”. Gdy zaś spytamy, skąd bierze odwagę, by głosić te słowa, skąd ma pewność, iż są prawdziwe, odpowiada: „Duch Jahwe, Pana, nade mną”. Fakt, iż ktoś ma odwagę powiedzieć „ja” i „teraz”, że podejmuje się tak trudnej misji i ją wypełnia, znajduje tylko jedno wytłumaczenie — został posłany przez Boga.

Czy i my nie jesteśmy posłani?

## „GDY BÓG ZAWOŁA MNIE PO IMIENIU”

Głównym bohaterem dramatu Carla Zuckmayera *Generał diabła* jest zapalony pilot, generał Harras. Pozostając w służbie narodowego socjalizmu, odrzuca go instynktownie jako system diabelski. Ze względu jednak na swą wewnętrzną słabość, nie może zdecydować się na czynny opór. Pewnego dnia generała odwiedza ranny oficer Hartmann, niegdyś zaangażowany ideowo nazista, który „przejrzał”. Stało się to wówczas, gdy musiał wziąć udział w akcji „przeczesywania” getta przez oddziały SS. Ostatecznie przystąpił do ruchu oporu. W trakcie rozmowy młody pilot zwraca się do generała: — Chciałbym pana o coś spytać. Może wyda się to śmieszne, ale czy jest pan wierzący? Po dłuższym namyśle Harras odpowiada: — Sam nie wiem. Nie spotkałem Boga, ale to moja wina. Nie chciałem Go spotkać, ponieważ postawiłby mnie przed wyborem, którego chciałem uniknąć.

To wyznanie zwraca naszą uwagę na sprawę niezwykle istotną: Jeśli przyjmiemy Boga, staniemy przed wyborem. Spotkanie z Bogiem pociąga za sobą konsekwencje, często dla nas niewygodne. Bóg objawia się jako przewodnik i opiekun jedynie wtedy, gdy nie stawiając żadnych warunków, spełniamy swoim działaniem Jego wolę. Nie możemy jednak nigdy przewidzieć, jakiego rodzaju skutki przyniesie nasze „zdecydowanie się” na wiarę. Dlatego też wiara była zawsze zadaniem trudnym, co nie znaczy jednak, że do spełnienia niemożliwym.

Zdecydujemy się na Boga, także, a właściwie przede wszystkim, w czasach, w których ludzie pomijają milczeniem Jego istnienie i próbują dać sobie radę bez Niego. Miejmy tę odwagę.

Niech ci, którzy uważają spotkanie z Bogiem za nieważne, pomyślą o słowach poety, Joche-na Kleppera:

*Bez Boga jestem rybą rzuconą na brzeg  
Bez Boga jestem kroplą rzuconą w żar  
Bez Boga jestem trawą rosnącą na piasku  
I ptakiem o nieruchomych skrzydłach  
Gdy Bóg zawoła mnie po imieniu,  
Jestem wodą, ogniem, ziemią, powietrzem.*

Każdy z nas stawia sobie pytanie, „kim jest” — rybą na suchym brzegu, kroplą wody w ogniu świata, rośliną na pustynnej ziemi czy też ptakiem, który nie potrafi latać? I tak by właśnie było, gdyby żywy i ożywiający Bóg nie podniósł nas i nie poprowadził ku naszemu ostatecznemu przeznaczeniu. Jeśli człowiek



pozwoli Bogu, by go zawołał, wyrasta ponad samego siebie. Przetrzymania każdą słabość, może sobie zaufać i beztrąsko iść spać, bez trąwgi przed jutrem. Nasze zwrócenie się ku Bogu nie oznacza utraty własnego „ja”, co często próbuje się nam wmówić. Decyzja trwania przy Bogu oznacza właśnie odnalezienie samego siebie.

Skłonienie się ku Bogu oznacza jednak zawsze zwrócenie się ku bliźniemu. Mówiąc swoje „tak”, Maria zdecydowała się nie tylko na przyjęcie Boga, ale i człowieka — Jezusa, swojego syna. Jemu to pozostawała wierna aż po Golgotę, w Jego służbie zyskała chwałę. Takie wyzwanie kierowane jest również do nas: Wyzwól się i bądź dla innych. Nasze życie nie będzie bowiem udane, gdy zarezerwujemy je tylko dla siebie. Nie znajdziemy szczęścia krążąc bez ustanku wokół własnego „ja”, przepełnieni lęklwym egoizmem. Dopiero poświęcając się dla innych, odnajdziemy samych siebie. Samorealizacja to samopoświęcenie. Egoiści, dla których własne *ego* stanowi nałóg, są nieszczęśliwi, jak wszyscy nałogowcy świata. Szczęśliwy może być tylko ten, kto zatraci się w innych.

Spotkałem ostatnio pewną siostrę zakonną, która przez całe życie opiekowała się chorymi. Usłyszałem od niej słowa godne pozazdroszczenia: — Pomimo wszystkich cierpień, które musiałam codziennie oglądać, jestem szczęśliwym człowiekiem. I tak jest naprawdę. Ale dlaczego? Ponieważ opowiedziała się po stronie Boga i ludzi. Zatraciła się w służbie i odnalazła przy tym niespodziewanie samą siebie.

## ZDECYDOWAĆ SIĘ NA MIŁOŚĆ

Co znaczy — „być chrześcijaninem”? Nie polega to z pewnością na bezczynnym oczekiwaniu na dary niebios ani na bezwolnym tkwieniu na drugim planie, ani też na ucieczce od wypełniania codziennych obowiązków. Bycie chrześcijaninem oznacza aktywność i odwagę w podejmowaniu decyzji, o czym przypominają najwięksi chrześcijanie — święci. Chciałbym w tym miejscu przypomnieć postać Klemensa Marii Hofbauera. Jako czeladnik piekarski nie miał zbyt wielu szans, by studiować, a mimo to postanowił zostać duchownym. Po wyświęceniu z pełną konsekwencją niósł słowo Boże przez świat i ostatecznie został w Wiedniu przywódcą grupy reformatorskiej, której celem była walka z powierzchownym chrześcijaństwem, dostosowanym do potrzeb ówczesnego mieszczaństwa. Klemens Maria Hofbauer błaga w swej modlitwie: „Ty, który jesteś początkiem i końcem naszej wiary, nie pozwól, by wygasło w nas jej piękne światło”.

Takie niebezpieczeństwo istniało niegdyś, istnieje i teraz. U nas w kraju nie jesteśmy co prawda prześladowani z powodu wiary, ale nasze chrześcijaństwo jest zagrożone przez nasze milczące odejście, przez czystą obojętność. Wiara wykrusza się stopniowo, niczym pod działaniem erozji, tak że zatracą coraz bardziej swój kształt, treść i siłę.

Z pewnością jest wiara darem Bożym. Wierzący człowiek musi jednak dać także coś z siebie, by jego wiara pozostała żywa. Powinien, zgodnie ze słowami Hofbauera, sam podtrzymywać światło. Musimy więc codziennie

na nowo otwierać się na wiarę, przede wszystkim zaś modlić się o nią.

Jakże wielu ludzi żyje tylko dniem dzisiejszym! Socjologowie twierdzą nawet, że słowo „żyją” niesie w sobie zbyt duży ładunek „aktywności”, by móc nim opisać owo idealnie pasywne bytowanie. To jakby życie z drugiej czy trzeciej ręki. Tego typu ludziom nigdy nie uda się wyrzucić żadnego piętka na swoim istnieniu, nie uda się im zdecydować o własnym losie. Nam nie wolno lekkomyślnie roztrwonić życia — nam, którzy zostaliśmy pojednani z Bogiem poprzez osobiste poświęcenie się Chrystusa na krzyżu, poprzez Jego najtrudniejszą decyzję, której źródłem była miłość prawdziwa. Powinniśmy żyć jako pojednani, jako ludzie przyjmujący z wdzięcznością miłosierdzie i dobroć naszego Pana i odpowiadać na nią swoją wiarą. Powinniśmy wszystkie nasze siły skoncentrować na tym jednym ważnym celu, który jest naszym przeznaczeniem.

Chrześcijaństwo żywe oznacza nie tylko konieczność opowiedzenia się za ukrzyżowanym i zmartwychwstałym Panem. Wzywa ono do miłowania wszystkich ludzi. Ewangelista Mateusz mówi nam o Jezusie: „A widząc tłumy ludzi, litował się nad nimi, bo byli znękani i porzuceni, jak owce nie mające pasterza”. Do takich właśnie znękanym i porzuconym ludzi, którym grozi depresja i rezygnacja, wysyła nas dzisiaj Bóg. Zwróćmy się więc ku tym, którzy znękani są zbyt szybkim tempem życia i hałasem, nadmiernymi wymaganiami i troskami, chorobą i zwątpieniem.

Wszędzie czekają ludzie. Czekają, by inni oddali im swe serca, tak by mogła rozprze-

strzeniać się radość i nadzieja, by spełniło się życie godne człowieka. Nie wolno nam porzucić jedynie na naszym małym, własnym szczęściu. Jeśli wycofamy się w sferę prywatności, pozostawimy świat w dyspozycji kilku cwaniaków. Zwracajmy uwagę na to, kto nas potrzebuje: „Darmo otrzymaliście, darmo dawajcie” (Mt 10, 8d) — napomina nas Ewangelista. Z pewnością nie poprawimy klimatu naszego ludzkiego życia poprzez bezmyślne powtarzanie reformatorskich frazesów. Jakże często głoszony „na całe gardło” humanizm jest po prostu kwintesencją dzisiejszej „niepamięci” o Bogu. Prawdziwy humanizm może istnieć jedynie wtedy, gdy nie będzie odrywał od Boga tego, co ludzkie. Ceniony historyk, Gab Mann, przedstawił ten pogląd w bardzo obrazowy sposób: Humanizm nie zakotwiczony w Bogu porównać można do świętego kwiatu — więdnie i usycha bardzo szybko.

## W POSZUKIWANIU SENSU

Człowiek żyjący w świecie ciągłej pogoni za wszystkim, bardziej niż kiedykolwiek potrzebuje uspokojenia. Szuka ucieczki od pośpiechu i ciężących mu problemów, szuka schronienia, które pozwoli mu znowu żyć w harmonii z samym sobą. Próbuje uciec od zniewalającej go codzienności, poszukuje czegoś nowego... W tym duchu pisał do swego przyjaciela św. Augustyn: „Nie potrafię w pełni radować się dobrem zawartym w szczęściu, gdy brak mi poczucia bezpieczeństwa i spokoju. Dane mi ono będzie, gdy odgradzę się na jakiś czas

od wszystkiego, co płynie z zewnątrz. Wierzę, że potrzebuję dystansu do całego tego hałasu, jaki powoduje przewalające się pośpiesznie życie. Nie chcę życia jałowego i wojowniczego, u którego źródeł leży zwykła ambicja i ów brak wrażliwości — tak bardzo daleki od zaufania i odwagi”.

Św. Augustyn poruszył tu pewną prawdę, którą wielu z nas odkrywa na nowo: Człowiek potrzebuje dystansu i rozwagi, by mógł odróżnić sprawy drugorzędne od spraw istotnych, by kierować się w życiu tym, co naprawdę posiada wartość.

Nielatwo jest uchwycić, czy też dostrzec, istotę życia. Czasami musimy na naszej drodze stoczyć walkę, niczym na ringu. Klasyczny tego przykład pochodzi z Biblii: Jakub zmagający się ze swym Bogiem po przejściu potoku Jabbok. Walka toczyła się przez całą noc. Jakub wyszedł z niej nie tylko z ranami, ale i z błogosławieństwem.

Podobnie może być z nami, gdy wyruszymy na poszukiwanie sensu. Nie zostanie nam oszczędzona ani ciemność (ta, w której Jakub spotkał Boga), ani walka. Jednak szczęśliwy moment odnalezienia Boga da nam wytchnienie. Po nocy zajaśnieje dzień, a walka skończy się i zapanuje w nas spokój, mający swe źródło w Bogu. Odkrycie wielkiej Teresy z Avila przeznaczone jest również nam:

*Nic nie popląta twych dróg  
Nic nie zmąci twego umysłu  
Wszystko minie  
Bóg zawsze pozostanie sobą  
Cierpliwością zyskasz to, co wieczne*

*Niczego nie braknie człowiekowi,  
który umie wybrać Boga  
Istnieje tylko Bóg.*

## MODLITWA DROGĄ DO CZŁOWIECZEŃSTWA

Działając, kształtujemy darowany nam przez Boga świat. Każde najmniejsze dzieło naszych rąk zyskuje w ten sposób swą ukrytą chwałę i wielkość. Tak więc powinniśmy się radować, gdy możemy działać i powinniśmy mieć szacunek dla tego wszystkiego, co czynią inni. Mówiąc o godności ludzkiej pracy, zaczynamy mieć jednak wątpliwości: Jak jest naprawdę? Czy nasza praca i nasze osiągnięcia w ogóle mają jakiś sens? Czemu mają służyć stworzone i wyprodukowane przez nas rzeczy? Dokąd zaprowadzi nas cały ten postęp? Czy rzeczywiście powinniśmy czuć się tak bardzo zbudowani?

Słyszy się dzisiaj często, że wysiłek nasz jest bezsensowny, ponieważ każdy dzień wcale nie przynosi światu więcej szczęścia i radości, lecz stwarza coraz większe zagrożenie. Nasi psychoterapeuci mają nadmiar pracy, ponieważ rośnie liczba depresji. W samym epicentrum naszego dobrobytu zagnieździł się strach. Ludzie boją się, a głównie brak im odwagi do życia. Wielu z nich nie może zaakceptować ani teraźniejszości, ani przyszłości. Wzrasta liczba samobójstw i zabiegów przerywania ciąży. Strach stał się przewodnim hasłem naszych czasów, naszych wiecznych tarapatów. Przeczytałem gdzieś znamienne słowa: „Wy-

daje się, że pędzimy niesprawnym samochodem, na pełnym gazie, po złej drodze i w złym kierunku. W każdej chwili możemy runąć w przepaść". Wielu z nas nie może już znieść telewizyjnych wiadomości ze świata: wszędzie zagrożenie, napięcie i nierozwiązywalne konflikty. Stawiamy sobie pytania: Co dalej? Dokąd tak pędzimy? Czy nie ma odwrotu?

Skąd biorą się te czarne myśli na temat dalszego rozwoju? Jak pokonać strach?

Musimy zrozumieć, że dążenie do maksymalnego wykorzystania ludzkich zdolności to jeszcze nie wszystko. Praca nie może stać się naszym bożkiem. Musimy ze wszystkich naszych „duchowych” sił starać się osiągnąć człowieczeństwo. Musimy modlić się i wieść życie duchowe. Mam tu na myśli także życie religijne. Smutna konieczność przywraca więc naszemu życiu wewnętrzny porządek. Jest to porządek, który został nam dany, gdy „wyruszailiśmy w drogę”. Nie możemy o nim bezkarnie zapominać.

Celem modlitwy jest ciągle odnawianie i odmładzanie ducha. Chodzi o to, aby człowiek mógł dotrzeć do siebie samego, by mógł stanąć przed Bogiem ze wszystkimi swoimi problemami i wątpliwościami, a także ze swoją miłością, tęsknotą i nadzieją. Spyta wówczas: Boże mój i Panie, czego chcesz ode mnie? I sam postara się dać odpowiedź: Niech się stanie wola Twoja.

Chcę tu przedstawić pewną krótką historyjkę, a poświęcam ją szczególnie tym, którym słowa moje wydają się śmieszne.

Pewien chłopiec zwrócił się do dziadka z pytaniem:

— Nie rozumiem, dlaczego zawsze przypominasz mi o modlitwie? Czy będę dzięki niej szczęśliwszy? A może bogatszy i lepszy? Nie wierzę w to. Odpowiedzią było zaproszenie chłopca na przejażdżkę łódką, zaproszenie do wspólnego wiosłowania. Chłopiec zgodził się, choć nie mógł doszukać się w tym żadnego związku z modlitwą. Obaj wsiedli do łódki i dziadek zaczął wiosłować. Nagle chłopiec spostrzegł, że na obu wiosłach umieszczone były napisy — na jednym „Pracuj!”, na drugim „Módl się!”. Uśmiechnął się:

— Widzę, że nie możesz przestać mówić o tym *ora et labora*.

Dziadek bez słowa unieruchomił wiosło z napisem „Módl się!”, a drugie ponownie zanurzył w wodzie. Wnuczek zaprotestował: — Co robisz? Będziemy się kręcić w kółko.

— Sam widzisz — odparł dziadek — tak właśnie jest, jeśli tylko pracujesz. Wmawiamy sobie często, że za sprawą samego tylko poruszania się zdarzy się coś ważnego. Tak nie jest. Musisz używać obu wiosł — modlić się i pracować. Bez tego nie wyjdiesz z wiru, w który się stopniowo wplątałeś.

## JAK TEN, KTÓRY SŁUŻY

Dokładnie przed trzydziestu laty rozpoczęła swoją pracę w *slumsach* Kalkuty matka Teresa. Bez wahania stanęła w służbie ubogich i odrzuconych. Dając własne świadectwo, chciała odnaleźć Pana i przyjąć Go pod postacią cierpienia i nędzy. Obecnie każdego dnia o pół do piątej rano zbierają się dwa tysiące



sióstr i braci, by świętować Eucharystię. Udają się oni później do ubogich dzielnic Kalkuty i Nowego Jorku, Rzymu i Caracas oraz pięćset innych miast świata, by w duchu założycielki ich zakonu — Marii Teresy — opiekować się porzuconymi dziećmi, głodującymi i umierającymi. Idą, by godnie pochować zmarłych. „Jedność z ubogimi” to nie frazes. Ludzie ci spożywają bardzo skromne posiłki, noszą proste ubrania i posiadają równie mało, jak ich podopieczni. Żyją jedynie z wolnych datków. Pozwalają, by do odprawianych przez nich nabożeństw przenikał hałas wielkich miast. Chcą w każdej chwili pamiętać, gdzie jest ich miejsce i komu służą.

To matka Teresa powiedziała: — W Eucharystii mamy Chrystusa pod postacią chleba. Tu jednak, w *slumsach*, widzimy Go w zniszczonych ciałach. Możemy Go dotknąć. Matka Teresa przez swą służbę posunęła świat „kawałek” ku lepszemu. Pokazuje nam, że dobro może przynieść lawinowe skutki, a nasze działanie poświęcone innym ma zawsze sens i przynosi korzyść. Wskazuje nam źródło swych sił, wyznając: — Msza jest duchowym pokarmem, bez którego nie przetrzymałabym ani godziny.

*Christus diaconus*, Chrystus sługa, to tajemnica jej życia, ujawniająca się dzięki potędze Eucharystii. Matka Teresa, a wraz z nią wszyscy, którzy są jej ducha, ufają obietnicy danej przez Jezusa: „Otóż Ja jestem pośród was jak ten, kto służy” (Łk 22, 27).

Na tym polega podstawowa zasada chrześcijańskiego życia, realizująca się w słowie i czynie Jezusa. Jej ukoronowaniem jest ukrzyżowanie: „Lecz kto by między wami

chciał stać się wielkim, niech będzie waszym sługą” (Mt 20, 26). Ta Chrystusowa zasada zawiera prawdę, tak bardzo dla wielu irytującą: „Kto chce znaleźć swe życie, straci je, a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 10, 39). Wielu współczesnym wydaje się to absurdalne.

## BYĆ WIERNYM

Boga wiernego spotykamy w Biblii już na pierwszej stronie. Zarówno w Starym jak i w Nowym Testamencie mamy do czynienia z manifestacją wierności Tego, który stał się człowiekiem. Stary Testament daje nam obraz Boga nieanonimowego. Bóg ten nie kieruje się zmiennym humorem i nie chce wzbudzać strachu za sprawą różnych złośliwych niespodzianek. Nie jest On, jak kiedyś powiedział Nietzsche „żądny chwały mieszkańcem niebiańskiego Orientu”. Nie, Bóg jest tym, który zawiera z nami przymierze.

W księga Mojżesza mówi o słowach Mojżesza, skierowanych do jego ludu: „Gdyż głosić chcę imię Jahwe: uznajcie wielkość Boga naszego; On Skała, dzieło Jego doskonałe; bo wszystkie drogi Jego są słuszne; On Bogiem wiernym, a nie zwodniczym” (Pwt 32, 3 i d.). Psalmista natomiast oddaje Bożą chwałę w słowach dziękczynienia; „Ty mnie wybawiłeś, Panie, Boże wierny” (Ps 31, 6).

W Nowym Przymierzu wspólnota z tym wiernym Bogiem nawiązuje się poprzez naszego Pana, naszego brata, zbawcę i wyzwoliciela, Jezusa Chrystusa. Ukazuje się On nam

jako ten, który jest wierny i prawdziwy, ten, który wypełnia słowo i wolę Ojca. On jest fundamentem, na którym można budować. Jemu można zaufać. Boska wierność nabrała w Jego postaci konkretnego kształtu i widoczna jest aż po krzyż, a właściwie przede wszystkim na krzyżu. Pan bowiem poświęca swe życie mimo niewierności ludzkiej, mimo grzechu i odstępstwa. Tu właśnie objawia się Bóg wierny. To, co ludzkie jedynie i naturalne, zawodzi. Pan stanowi skałę — po wsze czasy grunt stały i niezawodny, we wszystkich fazach ludzkiej historii. Dlatego też list do Hebrajczyków mówi: „Trzymajmy się niewzruszenie nadziei, którą wyznajemy, bo godny jest zaufania Ten, który dał obietnicę” (Hbr 10, 23).

On, który umarł na krzyżu i zmartwychwstał, jest ostoją wszelkiej wierności — On, za sprawą którego dokonał się ostateczny zwrot ku nowemu początkowi, dzięki któremu zajaśniała w pełni światłość nowego świata. Jeśli ktoś zniechęcony lub zupełnie załamany nie wie już zupełnie co robić, jeśli widzi wszystko w czarnych kolorach, a w jego duszy czai się strach, powinien cierpliwie, poprzez modlitwę, kierować się ku Temu, który nigdy nas nie zawiedzie — ani swoim słowem, ani życiem.

Wierność Boża oczekuje naszej uważnej wierności. Jesteśmy do niej powołani. Wierność oznacza, iż w ciągle zmieniających się historycznych warunkach człowiek zachowuje istotne i stałe wartości, te, które zawsze obowiązują. Kto tak nie postępuje, powinien zastanowić się, ile zła może wyrządzić światu

poprzez swoją niewierność. Komu obca jest wierność w życiu, ten odcina się od swego źródła, od korzeni. Bez nich nie ma nowych kwiatów ani owoców. Bez nich wszystko umiera.

## MEDYTACJE SZPITALNE

Każdy pacjent ma w szpitalu kartę z nazwiskiem i historią choroby. Każdego dnia pielęgniarka nanosi na nią dane dotyczące jego tętna, temperatury i zaordynowanych medykamentów. Te znaczki na karcie nie mówią jednak wszystkiego. Brak tu krzywej trosk i obaw nękających chorego. Brak krzywej zapotrzebowania na wiarę, krzywej stanu psychicznego, w jaki człowiek nieoczekiwanie popada, gdy tylko dosięgnie go choroba. W efekcie „jest gotów”, tak że nic mu już „nie jest w smak” — ani jedzenie, ani odwiedziny, ani samo życie.

Duchowny często może wtedy usłyszeć pytanie: — Proszę księdza, dlaczego Bóg tak bardzo mnie karze? Za co muszę tak cierpieć? U podstaw tego rodzaju pytań tkwi kryzys wiary. Dlaczego dobry Bóg nie pomaga, gdy okazało się nagle, że jesteśmy bezsilni i opuszczeni?

Myślimy, że tam, gdzie jest Bóg, życie musi przebiegać radośnie, bez bólu i trosk. Nielatwo jest nam zrozumieć, że cierpienie w sposób nieodzowny towarzyszy naszemu życiu. Jest ono jego częścią składową i także Bóg nie usunie go tak, po prostu, ze świata. Skłania nas

ono nie tylko do stawiania pytań o Boga, lecz także do zastanowienia się nad naszym ludzkim bytem.

Jeśli człowiek zdrowy może jeszcze tkwić w naiwnym przeświadczeniu, że stan taki jest nienaruszalny, to chory poznaje kruchość swej istoty. Cierpienie pozwala mu dostrzec, jak bardzo podatny jest na zniszczenie. Zdrowy jest przekonany, że sam sobą dysponuje; chory jednak wie już, że władza nad sobą samym nie jest mu dana w pełni. Nie może już żyć tak, jak chciałby. Czuje naraz, iż jest w rękach obcej siły. Tak więc chory człowiek staje bez żadnego przygotowania wobec całkiem obcego mu świata. Życie traci swoją „oczywistość”. W powieści *Oddział chorych na raka* Aleksander Solżenicyn przedstawia los pacjentów, którzy uświadamiają sobie, że napiętnowani są nieuleczalną chorobą. Jeden z ciężko chorych, leżących w tej dziwnej „śmiertelnej” poczekalni, mówi przed operacją: — Czasami czuję całkiem wyraźnie, że jest we mnie coś więcej niż samo czyste „ja”, coś niezniszczalnego, wzniosłego. Solżenicyn dochodzi do przeświadczenia, iż ciężka choroba może nas doprowadzić do następującego przekonania: Przy całej nędzy, w jaką popadliśmy, jest w nas coś niezniszczalnego, coś wiecznego, kawałek Boskiego bytu — i to także wtedy, gdy nie jesteśmy już zdolni do dokonania tego odkrycia.

Chorobę przyrównać można do klucza, który otwiera przed nami zamknięte dotąd drzwi. Prowadzą one do tych dziedzin naszego bytu, w których bardziej niż gdzie indziej możemy dotrzeć do głębi naszej istoty.

## BÓG NIE POPEŁNIA BŁĘDÓW

Jakiś czas temu zapowiedziano w pewnym kościele bierzmowanie. Trzy tygodnie wcześniej zatelefonował do mnie miejscowy proboszcz: — Byłoby dobrze, gdyby Wasza Eminencja przyjechał wcześniej. Mamy tu młodego pacjenta, który nie miał wcześniej okazji pójść do bierzmowania, a obawia się, że nie dożyje do dnia uroczystości. Tak więc pojechałem i zobaczyłem bardzo chorego, młodego człowieka po ciężkiej operacji. Byłem w najwyższym stopniu zdziwiony, że chory był pogodny i radosny — przynajmniej na początku. Cieszył się, że ma przystąpić do bierzmowania, a grono jego przyjaciół wzięło udział w szpitalnym nabożeństwie. Odbyłem później długą rozmowę z tym skazanym na śmierć młodzieńcem. Wyznał: — Wiele płakałem, bo wiem, że niedługo już mnie nie będzie. Nikt też nie ukrywa przede mną mojego stanu. Mam raka i wiem, że to szybko pójdzie. Powiedziała mi o tym matka. Potem opowiadał mi, jak bardzo rozpaczał i szamotał się ze sobą, gdy usłyszał, że nie dane mu dłużej żyć — jak spierał się z Bogiem, jak bardzo zwątpił. — Wydawało mi się — mówił — że jestem w najcięższym więzieniu — opuszczony, stracony i zdradzony. Wszelka nadzieja już przepadła. W końcu jednak pomogły mu słowa pewnego starszego człowieka: — Sam nie mogę ci pomóc, ale chcę powtórzyć ci jedno zdanie, które kiedyś usłyszałem. Może ono ci pomoże. Zdanie było zwięzłe: „Bóg nigdy nie popełnia błędów”. Gdy nasza długa rozmowa zakończyła się łzami i słowami nadziei, ze strony młodego czło-

wieka padły też słowa wyrażające nadzieję na przeżycie. Pojechałem do domu. Nigdy jeszcze żadne bierzmowanie tak mną nie poruszyło.

Istnieją inne, nie tak wysokie poprzeczki jak ta, którą musiał pokonać ten młodzieniec. Także jednak one sprawiają trudności. Nawet młody jeszcze człowiek wie, jak trudne może być podjęcie takiej czy innej decyzji, gdy brak odwagi do zaakceptowania swojego życia, gdy czujemy, że Bóg chce poprzez nas coś osiągnąć, a my jesteśmy zbyt tchórzliwi, by powiedzieć „tak” i wolimy się odizolować niż zdać na Boską wolę.

Trudno nie zauważyć, jak wysokie mury muszą pokonywać nawet młodzi ludzie. Młodych jednak można zapewnić: Istnieje siła i istnieje droga, które umożliwiają pokonanie tych przeszkód. Ludzie mają często dużo więcej sił niż przypuszczają. Dopiero jednak drogą sprawdzianu można przekonać się, co naprawdę tkwi w człowieku. Myli się jednak wielce, kto chełpliwie i lekkomyślnie twierdzi, że da sobie radę sam. Spadnie z obłoków na ziemię, zanim jeszcze do tych przeszkód dotrze. Psalmista mówi: „Bo z Tobą zdobywam wały, mur przeskakuję dzięki mojemu Bogu” (Ps 18, 30). Bóg nie pozostawi nas sam na sam z naszymi problemami, jakiejkolwiek natury będą.

We wspólnocie z Chrystusem, w przyjaźni z Nim, możemy rzeczywiście „przeskakiwać mury”, a w życiu napotykamy niejednego. To nie groźba, a jedynie zwykle stwierdzenie. Ale wierzymy przecież ciągle na nowo, iż: „Mur przeskakuję dzięki mojemu Bogu”.

## DO CZŁOWIECZEŃSTWA POPRZEZ CIERPIENIE

Przed kilku laty nagrodę Księgarzy Niemieckich otrzymał polski filozof, Leszek Kołakowski. Nagrodzony mówił o tym, że można obecnie zaobserwować „paniczną ucieczkę przed cierpieniem”. Z obawy przed nim stworzyliśmy sobie wyrafinowany system obrony, zbudowaliśmy barykady. Nie wpuszczamy cierpienia, a z zewnątrz jesteśmy ciągle zachęcani do tego, by tę palisadę jeszcze umocnić i uszczelnić. Zwróćmy uwagę, jakiego rodzaju wzorców dostarczają nam media, szczególnie zaś reklama. Oto szczęśliwi, zdrowi, pełni życia współcześni nam ludzie — zgrabne dziewczyny i krzepcy, wysportowani mężczyźni. Ładni, ruchliwi, przedsiębiorczy.

Pewien pięćdziesięcioletni mężczyzna wyznał mi kiedyś: — Rażą mnie u mojej żony już pierwsze zmarszczki. O swoich oczywiście nie pomyślał! Przeszkadza mu na twarzy kilka zmarszczek, ponieważ psują mu one jego „gładki” obraz człowieka. My musimy być przecież coraz bardziej olśniewający, coraz bardziej witalni — czeka na nas samorealizacja, awans życiowy i kariera!

Stworzyliśmy system obrony i szybkiego reagowania. Wypracowaliśmy też inny, równie perfekcyjny, który Kołakowski opisuje w sposób następujący: „Do najważniejszych, jakkolwiek słabo widocznych, cech naszej cywilizacji należy całkowity odwrót od wiary w wartość cierpienia”. Obce stały się dla nas warto-



ści, które niosą ze sobą ból, cierpienie, zewnętrzne zniszczenie. Oczywiście, gdy sytuacja staje się poważna, nieistotne stają się sztucznie „wyprodukowane” sny o wygodnym i nie zakłóconym niczym życiu. Gdy spokój zostanie zakłócony — z dnia na dzień, z minuty na minutę, a nasz kwitnący żywot całkowicie zniszczony, pojawiają się pytania: Dlaczego? Dlaczego właśnie on? Dlaczego ona? Dlaczego spotyka to moją rodzinę? Za co mnie? Tego typu pytań nie zapije się tak po prostu butelką wódki. Nie można ich stłumić ani odsunąć; trzeba się z nimi skonfrontować i szukać na nie odpowiedzi. Poszukiwania takie mogą zająć wiele czasu.

Przeczytałem kiedyś słowa: „Nienawidzę księży — mają zawsze na wszystko odpowiedź”. To nieprawda. Nie mamy gotowej odpowiedzi na wszelkie kłopoty i trudności, wszelkie rany w ludzkich sercach, na cierpienia i udreki. My, księża, znamy jedynie ramy, wewnątrz których każdy pojedynczy człowiek może znaleźć odpowiedź. Często po długim poszukiwaniu, często szukając po omacku.

Francuski poeta Paul Claudel zapewnia nas: „Bóg nie przyszedł, by wyeliminować cierpienie. On nie przyszedł, by je wytłumaczyć. Przybył, by wypełnić je swoją obecnością”. To jest właściwa odpowiedź i możemy ją spotkać zarówno w Słowie Bożym, jak i na wielu stronach Pisma Świętego. Bóg nie odpowiedział nam na wszystkie pytania i nie odsłonił przed nami tego, co stanowi być może przyczynę naszych długoletnich cierpień.

Przy okazji mojej ostatniej wizyty w Afryce, odwiedziłem w Lusace tamtejszego biskupa. Posiada on silny charyzmat, oddziałujący na chorych. Modli się z nimi w swojej domowej kaplicy po kilka godzin dziennie. Często przyznoszeni tam są również pacjenci ciężko chorzy.

Biskup powiedział mi wieczorem: — Dziś mogę pokazać coś szczególnego. Przyniósł pudełko pełne różnokolorowych pigułek. Poinformował mnie, że pewien bogaty człowiek, którego stać było na kupowanie drogich lekarstw, odwiedził go poprzedniego dnia, aby się wspólnie modlić. Przesłał mu potem to pudełko z karteczką: „Nie jest mi już potrzebne, ponieważ odnalazłem Tego, który pomoże mi, zaczynając od uzdrowienia mojej duszy”.

Nikt tu oczywiście nie twierdzi, że pomoc lekarska i lekarstwa są nieważne. Właśnie chrześcijańskie poglądy na akt tworzenia, naturę i rozwój dalekie są od niedoceniań środków leczniczych i odrzucania sztuki medycznej. Tu jednak chodzi o coś więcej. Bogacz, który myślał dotąd, że może pozbyć się cierpienia za sprawą kupnych środków, zrozumiał dzięki modlitwie, że najpierw musi zaakceptować swoją ułomność. W tym akcie akceptacji odczuł, że cierpienie we wspólnocie z Chrystusem stanowi drogę do wyzwolenia. Celem jej nie jest „zauroczenie” choroby, lecz wyrobienie trwałej zdolności do cierpienia. Człowiek, który nauczył się cierpieć, przyjmuje cierpienie jak misję, którą niebiosy dały mu do spełnienia. To spełnienie doprowadzi go do Boga. Współcierpienie bowiem z Ukrzyżowanym stanowi drogę do chwały Boga Trójjedynego.

## TRUD NASZ NIE JEST DAREMNY

Poprzez pracę człowiek staje się partnerem Stwórcy, przyjmuje Boskie wezwanie do działania. U źródeł ludzkiej pracy, nawet tej najbardziej niewdzięcznej, nie leży Boża zemsta. Przeciwnie. Przyjazny nam Bóg chce, byśmy zmierzyli się ze światem.

Jezus Chrystus przydał pracy nowy sens. Poprzez swe uświęcające czyny uwolnił wszechświat od „zapachu zgnilizny”. Poprzez swe człowieczeństwo otworzył ostatecznie drogę do przyszłego spełnienia. Cała rzeczywistość ma teraz za cel towarzyszyć Bogu-Człowiekowi w Jego Zmartwychwstaniu i Wniebowstąpieniu. Poprzez to każda praca na tym świecie zyskuje nieoczekiwaną godność. Stoi ona w służbie tej świętości, którą przyobiecał nam Chrystus.

Całe ludzkie działanie — nie tylko czyny pobożne i dobre — stanowi wg wielkiego filozofa i badacza prehistorii, Teilharda de Chardina „krok naprzód w radosnym »zdobywaniu« przez Chrystusa całego kosmosu”, a każde udane dzieło jest „niczym otwarta brama, prowadząca do ostatecznego spełnienia naszego bytu”. Francuski uczony w swojej książce *Boska dziedzina* opisał ten nowy wymiar pracy następującymi słowami: „Bóg żywy, Ten, który stał się człowiekiem, jest blisko nas. Czeka w każdym, choćby najmniej istotnym działaniu. Jest z pewnością na końcu stalówki mojego pióra, na końcu igły i kilofa. Oczekuje w moim sercu i mojej myśli. Doprowadzając do naturalnego końca wykonywane przeze

mnie uderzenie czy ukłucie, osiągam ostateczny cel, do którego dąży moja najgłębsza wola”.

Widoczna staje się tu ostateczna perspektywa ludzkiego stworzenia. Nasza praca przygotowuje ponowne przyjście Chrystusa i obiecany nam, ostateczny kształt świata. Nasz trud nie jest daremny. Jakże często słyszy się skargę: Moja praca wcale mnie nie obchodzi. Nie widzę sensu tego, co robię, w co inwestuję tyle mojego czasu. Chrześcijański pogląd na sens pracy pozwala nam nadal aprobować naszą służbę światu, pozwala przewycięzać chimeryczne niezadowolenie oraz podporządkować nasze działanie zasadzie sprawiedliwości i dobra ogółu. Bez religijnej motywacji będzie nam niezwykle trudno odnaleźć ten sens. Zagubimy się w nawale różnych codziennych prac.

Chrześcijański pogląd na pracę chroni człowieka także przed tym, by dał się jej pochłonać bez reszty, nie dostrzegając w niej wartości, by nie dał się oszołomić zawodowym sukcesom. Taka postawa nie pozwoli zapomnieć mu o innych, wyższych wartościach i uchroni przed iluzją, że o własnych siłach może stworzyć raj na Ziemi. W końcu Królestwo Boże to nie nasze dzieło i nie w naszej mocy jest osiągnięcie doskonałości. Biblia mówi o tym słowami: „I Miasto Święte — Jerozalem Nowe ujrzałem zstępujące z nieba od Boga” (Ap 21, 2).

Chrześcijańskie rozumienie pracy chroni nas zarówno przed rezygnacją, jak i przed euforią. Nakłania do pilnego działania, od którego wiele zależy. Wiele, ale nie wszystko. Pozwala nam oczekiwać, jak pisze teolog Henri de Lu-

bac, że nasza praca „przez wieki buduje dom, który Bóg przemieni, by stał się Jego mieszkaniem”.

## POTRZEBA RÓWNOWAGI

Musimy ponownie przyswoić sobie starą sztukę, jaką jest życie. Trzeba znowu nauczyć się żyć — nie tylko pracą, ale i wolną chwilą „dla ducha”. Nie możemy bowiem bezkarnie wyłamywać się spod prawa rytmu, tego tajemniczego zegarowego mechanizmu wszystkich życiowych aktywności. Kto myśli jedynie o własnych sukcesach i sprawności, niszczy na dłuższą metę siebie samego. Potwierdzenia tego faktu nie trzeba szukać w statystykach medycznych, informujących o zawałach serca i nadciśnieniu; wystarczy chwila zastanowienia. Pełnia człowieczeństwa to nie tylko skierowane na zewnątrz działanie; to także rytmiczne „powroty” do własnego wnętrza, to chwile refleksji, troska o ducha i umysł.

Z pewnością nie wolno nam zaniedbywać ani pracy, ani obowiązków — decydują przecież o spełnieniu i samorealizacji. Człowiek — wyposażony w niezmiennalne dary ducha i ciała — nie może zadowolić się życiem biernym. Coś popycha go ku aktywności, powoduje, że wykonuje jakieś prace, że rozwija swoje zdolności. Diabelski krąg zamyka się wówczas, gdy człowiek myśli już tylko o tym, by być aktywnym, gdy staje się to jego jedynym życiowym celem. Nasze życie bowiem realizuje się w polu napięć pomiędzy pracą a wolną chwilą, refleksją.

Ta chwila dla ducha nie jest nam dana poprzez zewnętrzny fakt, jakim jest „istnienie” wolnego czasu i nie jest identyczna z „nierobieniem niczego”. Według słów Josefa Pipera tworzy ona pewien „stan duszy”. Filozof ten napisał w swoim traktacie *Czas dla ducha a religia*: „Stanowi on tę samą siłę, co dar kontemplacyjnego zatopienia się w świecie realnym, co zdolność do uroczystego »wyniesienia« umysłu. Umożliwia nam więc wyjście poza samą tylko pracę oraz nawiązanie kontaktu z ponadludzkimi potęgami bytu, będącymi źródłem życia. Z potęgami, które później pozwolą nam »odnowionym« na powrót do wypełnionego pracą dnia powszedniego”.

Dla nas, chrześcijan, oznacza to dotarcie do prawdziwego sedna naszego życia, oznacza pełne zaufania oddanie się Bogu oraz wiarę w Królestwo Boże, które w Chrystusie i przez Niego zostało, niczym kiełek, rzucone w naszą ziemię. Królestwo to będzie wzrastać, tak jak wzrasta zboże, powodowane siłą ukrytą w nasieniu. Jesteśmy co prawda „wezvani” do współpracy, lecz nie my przecież decydujemy o wzroście ziarna. Tej siły nie wyzwolimy nigdy i na nic zdadzą się wszelkie zabiegi, nie jesteśmy w stanie „zrobić” owocu. Owoc tworzy się sam z siebie, otrzymujemy go w darze. My możemy tylko uprawiać rolę.

Tego odkrycia dokonamy właśnie w owej wolnej chwili. Da nam ona możliwość zastanowienia się nad tajemniczym Bożym działaniem, wyzwoli od przemożnej chęci dokonania tego, czego żaden człowiek dokonać nie może. Znow odnajdziemy odpowiednią miarę, będziemy

mieli „dobre oko”. Tak dotrzemy do tego „złotego środka”, który stanie się punktem wyjścia dla naszego nowego życia.

## POJEDNANIE Z SAMYM SOBĄ

Znam pewną indyjską legendę, która często skłania mnie do refleksji:

Dawno temu żył człowiek, któremu zagrażał duży i niebezpieczny wąż. Człowiek uczynił to, co uznał za oczywiste — rozpoczął z wężem walkę. Przeciwnik był jednak potężniejszy i człowiek, zrozumiałwszy to, postanowił uciec. Wąż prześladował go jednak nadal i walka rozpoczęła się na nowo. Położenie człowieka stało się beznadziejne, ponieważ wszystkie jego siły wyczerpały się w walce z wężem.

Legenda ciągnie się dalej, my jednak spróbujmy zająć się bliżej pierwszą jej częścią.

Wężem, którego tak się obawiamy, jesteśmy my sami. Jakże wielu z nas nie lubi samych siebie. Cierpimy z powodu tzw. losu — tej zagmatwanej konstrukcji, tego kłębowiska cech dziedzicznych i nabytych, naszych pragnień i rozczarowań. Nie możemy przewyciężyć naszej wewnętrznej dysharmonii, nie możemy pogodzić się — ani z własną twarzą, ani figurą, ani pracą zawodową, ani z pełną błędów przeszłością. Dlatego też jesteśmy w stanie permanentnej wojny ze sobą. Walczymy przeciw własnemu brakowi uzdolnień, przeciw słabej duchowej i cielesnej kondycji. Walczymy tak długo, aż wyczerpani zrozumimy, że granice własnych możliwości, które chcielibyśmy przekroczyć, rzeczywiście

w przeważającej części są nieprzekraczalne. Później zaś próbujemy uciezki — w chorobę, w alkohol, w „wir pracy”. Często pozory mają w elegancki sposób zatuszować nasze ograniczenie.

Legenda mówi jednak, że to wszystko na nic — wąż nadal podąża za uciekającym. Człowiek stoi w miejscu i dalej czuje się zagrożony przez niepokonaną potęgę. Jasne więc, że taki sposób postępowania nie jest słuszny. Jak z tego wybrnąć?

Mówi o tym druga część naszej legendy. Te daremne poczynania człowieka dostrzegł pewien mędrzec i poradził mu: — Zaprześtań uciezki i walki. — Ależ — zaprotestował człowiek — ten potwór mnie pożre. Mędrzec odparł: — Posłuchaj mojej rady, a znajdziesz spokój. Przysuń się do węża, połóż u jego boku i dostosuj do wygięć jego ciała. Wąż nie dosięgnie cię wtedy i będziesz uratowany. Człowiek uczynił tak i znalazł spokój.

Co to ma znaczyć? Czy należy założyć ręce i czekać? Nie, mędrzec nie radzi człowiekowi, by położył się biernie obok węża. Poleca mu dopasować się do węzowych ruchów, jednać się z nim czynnie, traktować go jak coś nieuniknionego. Namawia do pogodzenia się z samym sobą.

Tylko człowiek pojednany ze sobą nie wali głową w mur, który został przed nim postawiony. Pogodzony ze sobą nie pyta już: Dlaczego inni są zdolniejsi, mądrzejsi czy ładniejsi? Dlaczego właśnie moja młodość była taka trudna? Dlaczego innym tak łatwo wszystko przychodzi? Pojednany ze sobą człowiek aprobuje granice swoich możliwości i próbuje roz-



wijać darowane sobie zdolności. Nie marnuje sił i czasu na iluzje, lecz staje „twarzą w twarz” z rzeczywistością — odważnie i czynnie. Odkrywa przy tym, że każdy człowiek ma w tej ludzkiej wspólnocie swe własne zadanie.

Pojednanie ze sobą samym nie dokonuje się z dnia na dzień, wymaga cierpliwości i nikt nie jest w stanie dokonać tego samodzielnie. Trzeba pozwolić sobie pomóc, a pomoc taka może nadejść zupełnie nieoczekiwanie. Możemy na przykład spotkać doświadczonego życiowo człowieka. Taki zaprawiony w cierpieniu człowiek oddziałuje na swoje otoczenie wyzwala-jąco. Promieniuje spokojem, ponieważ żyje ze sobą w zgodzie. Pomaga też innym zaakceptować ich własną osobę i własny los.

Do prawdziwego pojednania ze sobą może nas jednak doprowadzić dopiero nieprzerwany kontakt z Chrystusem. Jak nikt inny wie On, że zagrażają nam stale różne przewiny, cierpienia, a nawet rzeczy zupełnie błahe, które mogą nas w końcu pochłonać. Co czyni z nami On? Nie mówi, że „nie jest tak źle”, lecz solidaryzuje się z nami, ponieważ cierpiał naszą nędzę. On wyprowadził nasze życie ze ślepej uliczki i wyzwolił je od niedostatków. Otworzył nam drogę do innego, większego świata, a czyn ten nie zamyka się w przeszłości.

## ODKUPIENI, BY ŻYLI W NADZIEI

Słyszając słowa mówiące o nadziei, wielu współczesnych przybiera postawę sceptyczną. Czyż nie bardziej uzasadnione jest poczucie

beznadziejności? A może na początek trzeba się poddać naiwnemu optymizmowi, może ta droga do czegoś nas doprowadzi? Czy człowiek nie jest przypadkiem biednym, nękanym wątpliwościami głupcem, ofiarą wypracowanego przez siebie postępu?

Pytania takie pojawiły się już dawno, najpóźniej zaś z pewnością w momencie powstania Klubu Rzymskiego. Rzeczywiście, świat pozwala nam zobaczyć niewiele wydarzeń i zjawisk niosących otuchę. Ciągłe wybuchają nowe wojny, polityczne dysputy pełne są przemocy i nienawiści, głód gnębi całe narody. Codziennie daje o sobie znać terroryzm, któremu nikt, jak dotąd, nie może zapobiec, a panoszący się wokół strach nie oszczędza już nawet małych dzieci. Liczne konflikty i tragedie zakłócają życie rodzinne i zawodowe, nieustannie trwa konflikt pokoleń. Trudno więc się dziwić, że ogarnięta poczuciem beznadziejności młodzież odwraca się do świata plecami, że gardzi nim i wybiera „emigrację wewnętrzną”.

„Coś takiego jak »właściwy sens historii« w ogóle nie istnieje. Może się pojawić dopiero za sprawą naszego działania” — napisał pewien sceptyk. Czy nie ma już więc nadziei? Czy te wszystkie książki, w tytułach których pojawia się obecnie hasło „nadzieja”, to tylko bezsilna próba dostrzeżenia jakichś jaśniejszych plam wbrew wszystkiemu?

Trudno będzie nam odnaleźć nadzieję, gdy zdamy się wyłącznie na siebie. Mamy jednak Boga, którego św. Paweł nazywa „Bogiem, dawcą nadziei” (Rz 15, 13). Ten Bóg nie kpi sobie z człowieka. Przywołał On nasz świat z niebytu w byt; chce, by światłość, radość

i prawdziwe życie stały się też naszym udziałem. Człowiek jednak odszedł od Boga, od tego początku i celu swego istnienia i popadł w grzech. Jego świat zaś stał się kłębem chaosu i śmierci. Miłosierdzie Boże okazało się jednak potężniejsze — Pan uratował nas swą ojcowską miłością wysyłając nam swego syna, Boga-Człowieka, Jezusa Chrystusa. W Nim i przez Niego dana została nam niezniszczalna nadzieja, trwała po wsze czasy. Przyszedł On nie tylko do słabych, zgnębionych i grzesznych, ale także do bogatych, którzy w swej duszy są często najubożsi. Troszczył się o znieważanych i znienawidzonych, a tym, których odrzucono, zapewnił nową ojczyznę — ojczyznę serca. Tak, Bóg-Człowiek sam uczynił z siebie okup, idąc na krzyż „za wielu”. Cierpiał i umarł w osamotnieniu, lecz zwyciężył ciemność otchłani światłością swej osoby. Sprawił, że pokój, sprawiedliwość i zbawienie stały się udziałem nas wszystkich. Jego Zmartwychwstanie jest źródłem naszej nadziei.

Zostaliśmy odkupieni, by żyć w nadziei — poświadcza apostoł Paweł (por. Rz 8, 24) i właśnie chrześcijaństwo powinno nam to umożliwić. Musimy pamiętać, że nasza wiara nie jest zawieszona w próżni. Nie wolno nam więc załamywać się, nawet mimo gorzkich, życiowych doświadczeń.

Nasza nadzieja posiada niepodważalny fundament tworzony przez rzeczywistość i niezawodne Słowo Boże, przez obietnicę Bożej miłości, krzyż i Zmartwychwstanie. Nie jest ona pustym owocem, wyrosłym na gruncie marzeń, nie wynika też po prostu z naszej naturalnej potrzeby „lepszego życia”. Nie ma nic wspól-

nego z ulotną fantazją. Jest trwała, ponieważ jej gwarantem jest Bóg. Ze względu na swoje źródło i uświęcający wpływ, wyrasta chrześcijańska nadzieja ponad zwykły, naturalny optymizm, który zakłada tylko, że „jakoś to będzie”. Oznacza „trwanie w Boskiej Opatrzności”, jak powiedział pewien teolog; jest pierwotną siłą wiary i przynależy do wnętrza osoby, jak pisze francuski filozof, Gabriel Marcel. Chrześcijanin akceptuje teraźniejszość, kierując swe oczekiwania ku wiecznej przyszłości, którą przyobiecał mu Bóg.

Chrześcijańska nadzieja to nie bierne oczekiwanie na lepsze czasy. Bóg dał światu zmartwychwstanie i płynącą z niego siłę. Jako Jego partnerzy powinniśmy rozwijać i szerzyć w świecie dobro i zbawienie, aby świat dorastał do Zmartwychwstania, by szedł w tym kierunku. Powinniśmy wcielać nadzieję w życie i przeżywać ją w widoczny dla innych sposób. My właśnie jesteśmy odpowiedzialni za to, by starczyło jej dla tych, którzy zwątpili. Ma to być nadzieja płynąca z wiary, uaktywniająca się dzięki miłości.

„Świat należeć będzie do tego, kto da mu na tej ziemi najwięcej nadziei”, pisze Teilhard de Chardin. Czy ta, darowana nam w Jezusie Chrystusie, nie jest najgłębsza?

## NIEZASPOKOJONA TĘSKNOTA

Poeta Ernesto Cardenal pisze w swoich *Latynoamerykańskich Psalmach*: „W oczach wszystkich ludzi mieszka wieczna tęsknota. W źrenicach wszystkich ras, w spojrzeniach dzieci i starców, matek i zakochanych kobiet.

W oczach policjantów i urzędników, awanturników i morderców, rewolucjonistów i dyktatorów, i w oczach świętych. We wszystkich mieszka ta sama iskra niezaspokojonego pragnienia, ten sam tajemniczy żar, to samo bezgraniczne pragnienie szczęścia, pokoju i posiadania. Jest to pragnienie Boga — odczuwają je wszystkie istoty, a mówi też o nim przypowieść o Samarytance przy źródle”.

Samarytanka przy studni Jakuba odzwierciedla tęsknotę ludzkości. Symbolizuje tych wszystkich, którzy nieustannie, w wielkim podnieceniu gonią za czymś, co ich życiu ma nadać sens i przynieść spełnienie. Kobieta próbuje zaspokoić swą tęsknotę za szczęściem i radością, miłostkami. Na próżno jednak. Musi w końcu przyznać, że nic nie pozostało z tych ulotnych przyjemności: „Nie mam męża” (J 4, 17). Inni gonią za dobrobytem i pieniędzmi, inni jeszcze przepelnieni są nienasyconą żądzą władzy i chęcią korzystania z dóbr tego świata.

Jeśli człowiek widzi życie tylko w takich wymiarach i zgodnie z tym postępuje, to prędzej czy później musi znaleźć się w duchowej próżni, musi popaść w bezsens. Jakże wyraźnie ukazuje to literatura współczesna. W końcu taki człowiek popada też w zwątpienie, ponieważ wszystko co zdobył, jest nietrwałe. Zyskując doświadczenie o istnieniu granic naszych możliwości, pozbawiamy się jednocześnie iluzji, jakoby wszelkie rzeczy istniejące w naszym życiu „zewnątrznym” były naszą własnością i miały służyć nam pod każdym względem.

Czy nie jest dziwne, że właśnie dzisiaj słowo „frustracja” stało się słowem modnym? W sa-

mym centrum dobrobytu ludzie czują się sfrustrowani. Obiecywano im zaspokojenie potrzeb, które niejednokrotnie im najpierw wma-  
wiano, a teraz czują się rozczarowani. Praw-  
dziwa jakość życia, jak się bowiem okazało, to  
coś więcej niż wysoki życiowy standard.  
Abstrahując od tego, że dla osiągnięcia pełne-  
go człowieczeństwa każdy musi dokonać włas-  
nego „etycznego” wysiłku, to ta ludzka tęskno-  
ta za sensem, który nie przemija, przerasta  
wszelkie posiadanie i dokonanie, każdy rodzaj  
szczęścia odczuwanego tu i teraz.

Na pytanie o sens — pytanie, które padło  
przy studni Jakuba — Jezus ma już gotową  
odповідź. Zaskakującą i definitywną: „Kto  
zaś będzie pił wodę, którą ja mu dam, nie bę-  
dzie pragnął na wieki” (J 4, 14). On sam jest  
żywą i ożywiającą wodą. Kto zda się na Niego,  
nie pograży się w bezsensie, nie będzie żył ja-  
łowym życiem. Kto mu zaufa, znajdzie drogę  
do spełnienia.

## • SPRAWY OSTATECZNE

W opowiadaniu *Martineau* przedstawia nam  
Willi Fehse aktora, którego gra w niezwykle  
sposób porywa publiczność. Aktor ten wyka-  
zuje daleko posuniętą umiejętność „wczuwa-  
nia się” w odgrywane przez siebie postaci.  
Mimo to jednak sam czuje, że nie potrafi  
uchwycić i wyrazić tego, co najgłębsze i osta-  
teczne. Często mówi żonie: „Nie widzę tego...  
ostatecznego... tego, co leży w głębi... tej świat-  
łości”. Pewnego razu przypadła mu rola Mar-  
tineau, żołnierza, który stracił wzrok i powra-

ca z wojny jako ślepiec. Po omacku, z wyciągniętymi rękami zbliża się do swej żony i przyjaciół. Aktor tak bardzo wczuł się w postać niewidomego żołnierza, że nie mógł już odnaleźć drogi do siebie samego. Poczul się chory, a jego samopoczucie pogarszało się po każdym występie. W końcu odwieziono go do kliniki, gdzie w ciągu jednej nocy stracił wzrok. Coraz bardziej opadał z sił i na krótko przed swym końcem jeszcze raz stanął na nogi. Wyciągając przed siebie ręce, szukał w oddali tego, czego brakowało mu w życiu. Nagle usłyszano jego pełne radości słowa: „Teraz... teraz widzę jasność... tam, w głębi”.

Czym jednak ta jasność jest? Dla chrześcijanina to Nowe Przymierze, Królestwo Boże. Nowe Przymierze to nie wynik ludzkiego wysiłku, a „nadchodzenie” Królestwa Bożego nie jest tym samym, co postęp w ludzkiej kulturze. Drogę współczesnego człowieka „przez noc do światła” ilustrują symfonie Beethovena. Droga ta wymaga tytanicznego wysiłku i niekoniecznie prowadzić musi do tego, co ostateczne — do świętości. Tego światła nie odnajdziemy sami. Możemy się zwrócić ku niemu tylko wtedy, gdy Bóg pozwoli mu zajaśnieć w otaczającej nas ciemności.

Jednak Królestwo Boże, Nowe Przymierze, to nie tylko „wielkość” transcendentna, z którą zetknąć się można dopiero poprzez śmierć. Jezus powiedział: „Przybliżyło się do was królestwo Boże” (Łk 10, 9), a już św. Paweł dostrzega konflikt istniejący pomiędzy Nowym a Starym Przymierzem. Na tym świecie królestwo Boże zapoczątkował Jezus — Nowe Przymierze w Nim miało swój początek. W na-

szej erze powstały podwaliny przyszłości — bez kosmicznego wybuchu, bez politycznego przełomu. Królestwo pokoju i sprawiedliwości jest tutaj — bezbronne i bezsilne niczym nasionko. Nasionko jednak zakiełkuje, stanie się drzewem i zaowocuje. Garść zaczynu przebiję się przez wielkie ilości mąki.

Moc królestwa Bożego oddziałuje także na współczesność. Ukrzyżowany Jezus odsunął od siebie wszelkie znaki zniszczenia. Bramy śmierci zatrzasnęły się, a świat wyzwolony został od złych mocy, niosących woń zgnilizny. Radość — rozbudzona w nas dzięki Boskiemu światłu — to klucz, który otwiera przed nami życie na nowo.

## ODSŁOŃMY PRAWDZIWE OBLICZA BOŻKÓW

Człowiek wierzący wie, że świat jest dziełem Bożym. Dzieło to istnieje ciągle dzięki Bożemu dobru i Bożej wierności. Otrzymaliśmy świat w darze. Został nam powierzony jako zadanie do wypełnienia, jako rola pod uprawę.

Bóg przemawia do nas poprzez rzeczy i ludzi. Tą drogą daje nam poznać swoje wobec nas oczekiwania. Głos Boży dochodzi do nas nie tylko w Kościele, kieruje się do nas codziennie. Nasza pobożność nie ogranicza się do modlitwy i nabożeństwa, ogarnia całe nasze życie. „Wszystkie formy życia — powiedział Teilhard de Chardin — mogą być święte, a idealną formą dla człowieka jest ta, do której doprowadził go Pan nasz poprzez natural-



ne rozwijanie jego zdolności w danych okolicznościach”.

Jest w pełni uzasadnione, gdy ktoś mówi, iż pobożna jest matka, gdy wstaje w nocy, ponieważ jej dziecko gorączkuje i nie może zasnąć. Jest pobożny rolnik, który ciężką pracą uzyskuje plony ze swojego gospodarstwa i dzięki temu żywi swoją rodzinę. Pobożny jest robotnik, gdy z pełnym przekonaniem oddaje się swojej zawodowej pracy. Bogobojny jest młodzienc, gdy broni sprawiedliwości i pokoju. Wszyscy oni przyjmują swoje zadanie w zastanej rzeczywistości. Nie uchylają się od obowiązku, jaki powierzył im Bóg.

Jednocześnie jednak ci pobożni nie przeceniają siebie samych, nie mierzą zbyt wysoko. Nie załamują się doświadczając tego, iż nasze działanie nie czyni świata automatycznie świętym. Wiedzą bowiem, że Bóg nie wymaga od nas rzeczy niemożliwych. Wierząc, spoglądają na krzyż Jezusa Chrystusa, na krzyż, który nam mówi, że także ludzkie niepowodzenie nie musi prowadzić do upadku. Bóg tak bardzo miłuje swój świat, że chce uczynić go doskonałym, także przez katastrofy i niepowodzenia. Kto wierzy w Niego i Jego obietnicę, nie potrzebuje tak zawzięcie wierzyć w siebie. Może zaakceptować granice własnych możliwości. Może żyć w pokoju w świecie, który nie jest co prawda doskonały, lecz właśnie w kierunku doskonałości jest sterowany.

W takim świecie żyje chrześcijanin, w świecie stworzonym przez Boga i przez Niego zbawionym. Bez Boga świat ten dostałby się we władzę bożków, ponieważ rodzą się one tam, gdzie człowiek zaprzecza istnieniu Stwórcy

i zapomina o Odkupicielu. Wiemy, jakie są dzisiaj ich imiona: produkcja, zysk, konsumpcja, wydajność i prestiż. Odmówmy im swej służby w imię Boga i człowieka. Są one bowiem wrogami, zarówno Boga, jak i człowieka. Bożek zwany wydajnością tak długo tylko respektuje człowieka, jak długo ten funkcjonuje poprawnie w procesie produkcji — odrzuca chorych, starych i ułomnych. Bożek zwany dobrobytem zważa jedynie na portfel. Ignoruje ubogich i wobec dwóch trzecich ludzkości pozostaje niemy i głuchy. Bożek o imieniu prestiż liczy się jedynie z ludźmi wpływowymi i silnymi. Nie interesuje go zwykły człowiek, pozostający w cieniu światowych wydarzeń.

Odsłońmy ich prawdziwe oblicza. Pozostańmy przy tym jedynym i prawdziwym Bogu. Imieniem Jego jest miłość i chodzi Mu o człowieka całego, o każdego z nas, o nasze zbawienie. Boża prawda czyni nas wolnymi i zdolnymi do życia, którego wartość nie opiera się jedynie na pieniądzach i konsumpcji. Człowiek nie jest zbiorem potrzeb, które muszą być zaspokojone; nie jest brzuchem do napełnienia, nie jest mieszkaniem do zasiedlenia. Prawdziwy człowiek to człowiek cały. Taki, który pracuje i wypoczywa, który je i pije, który oczekuje od życia czegoś więcej. Nie jest skupiony tylko na sobie, ale potrafi też kochać.

### „ZOSTAWIŁEM WAM PRZYKŁAD”

Chrześcijanin jest związany ze swym Panem zawsze, także w życiu publicznym. Pan bowiem uczynił służbę powszechnym obowiąz-

kiem dla swych uczniów — dotyczy to zarówno ich umysłów, jak i praktycznej działalności. „Syn Człowieczy nie przyszedł, aby Mu służyć, lecz by służyć” (Mt 20, 28) — tak właśnie przedstawia się Jezus swoim współbraciom. A po umyciu nóg mówi do swoich uczniów: „Dałem wam bowiem przykład, abyście i wy tak czynili, jak Ja wam uczyniłem. Zaprawdę, zaprawdę powiadam wam: Sługa nie jest większy od swego pana ani wysłannik od tego, który go posłał. Wiedząc to będziecie błogosławieni, gdy według tego będziecie postępować” (J 13, 15-17).

Chrześcijańska samoświadomość odrzuca wszelką pychę. Wielkość człowieka wierzącego objawia się w tym, że jest on gotów służyć także wówczas, gdy dysponuje władzą. Dla chrześcijanina służba nie jest poniżeniem, nie jest równoznaczna z niegodną służalczością. Widnieje nad nią blask chwały, którą przydaje służbie naśladownictwo Chrystusa.

Nowy Testament wzywa nas, byśmy z pokorą i odwagą przystąpili do służby wykraczającej poza zwykłą działalność charytatywną. Zadanie chrześcijanina obejmuje wszelkie międzyludzkie relacje. Chrześcijanin nie może należeć do tych, którzy bez przerwy podkreślają tylko swoje prawa, obowiązki zaś stawiają na drugim planie. W encyklice *Pacem in terris* czytamy słowa papieża, Jana XXIII: „Ci wszyscy, którzy uwzględniają swe prawa, lecz zapominają całkowicie o swych obowiązkach lub też nie wypełniają ich należycie, podobni są do ludzi, którzy jedną ręką budują dom, a drugą go burzą”. Poza tym ten sympatyczny nam, ze względu na swój humanitaryzm, papież

podkreśla, że gotowość służenia nie powinna pozostawać jedynie w sferze przekonań. Przede wszystkim musi się sprawdzać w codziennej praktyce, w tej wielkiej konstrukcji, jaką jest życie. „Aby jakąś kulturę wypełnić zasadami i ożywić ją w duchu Ewangelii, nie wystarczy być oświeconym wiarą i mieć wolę czynienia dobra — mówi. — Dla osiągnięcia tego celu nieodzowne jest osobiste zaangażowanie się w działalność instytucjonalną danej kultury, jak i kształtowanie jej od wewnątrz”. Istnieje ku temu wiele okazji — w wielkiej polityce oraz w życiu społecznym, w pracy i w związkach zawodowych, w końcu w kształtowaniu opinii publicznej.

Do różnorodnych form zaangażowania w chrześcijańską służbę należy otwarta na świat religijność, będąca nośnikiem pewnego działania. Pobożność nie oznacza negacji rzeczywistości ani też ucieczki od niej. Wprost przeciwnie — oznacza służbę światu pełnioną na wzór Jezusa. Chrześcijanin potrzebuje pełnego troski niepokoju, który skłoni go przede wszystkim ku modlitwie i w ten sposób umożliwi mu pełnienie tej służby. Ludzie często się skarżą, iż pomiędzy ich wyabstrahowaną od świata wiarą a związaną ze światem aktywnością, stoi mur nie do przebicia. Ta rozbieżność, której na dłuższą metę nie sprostą żaden pojedynczy człowiek, może zostać przezwyciężona poprzez modlitwę. Nie powinniśmy bowiem zapominać o tym, że także ona kształtuje i rozwija życie publiczne.

Modlitwa nasza musi być wolna od egoizmu. Niezwykle rzadko spotyka się prośbę, jak ta,

wypowiedziana przez 18-letniego robotnika: „Panie, zaniepokoiło mnie nagle, że moja modlitwa dotyczyła dotąd jedynie mnie; że nie składałem rąk, by prosić za mój naród i rząd, za parlament i spokój w pracy, za związkowców i polityków. Moja modlitwa pomijała całkowicie polityków”.

Tam, gdzie dba się też o duchowy aspekt zaangażowania, wyrastają rodziny, z których pochodzą owi rzecznicy i mistrzowie demokracji, posiadający jasny obraz sytuacji i wiedzący, w którym kierunku trzeba pchnąć postęp. Tam też wyrastają ludzie, którzy wnoszą do życia publicznego pożądane cechy charakteru — sprzedającą dobroć, sprawiedliwość oraz dobrą wolę. Chcą czynić zgodę i nawiązywać braterstwo w duchu służby Nowego Testamentu.

Nie możemy zapomnieć o słowach papieża Jana z jego encykliki społecznej: „Nie istnieje w naszych czasach większy bezsens niż próby stworzenia stabilnego i użytecznego porządku bez owego koniecznego fundamentu, jakim jest Bóg”. Ten natomiast, kto zrozumie, iż Bóg jest tym fundamentem, nie straci odwagi, gdy mu się nie powiedzie, gdy nie osiągnie celu, którym miało być dobro publiczne. Wnosi w życie publiczne dużą dozę cierpliwości i pokory, stawia opór zniecierpliwionym perfekcjonistom. Człowiek cierpliwy, o czym mówi już Stary Testament, jest silniejszy od gwałtownego. Żyjąc w harmonii z rzeczywistością, pozostawia też innym swobodę ruchów, czas do działania i radość.

## POWOŁANI DO WOLNOŚCI

Wolność to wielkie, bezcenne dobro, przynależne istocie człowieczeństwa. Bóg nie uczynił z nas marionetek. Chce, byśmy stanowili sami o sobie, kształtowali nasze życie i nasz świat. Musimy bronić się przed konformizmem i anonimowością.

Zawsze jednak natrafiamy na granice możliwości. Ograniczają nas własne predyspozycje, nasze otoczenie i nasze losy. We wszystkich tych życiowych sytuacjach, aż po śmierć włącznie, nikt się nas nie pyta, czy właśnie „tego” chcemy. Pragniemy większej wolności od tej, którą potrafimy sobie wypracować sami. Czy to nasze pragnienie trafia w pustkę, czy też istnieje wolność przekraczająca nasze naturalne siły, wolność opierająca się nawet śmierci?

Musimy skierować wzrok ku Jezusowi Chrystusowi, który darował nam tę większą, nieprzemijającą wolność. Nowy Testament mówi o „wolności i chwale dzieci Bożych” (Rz 8, 21). Nie chodzi tu tylko o wolność, która dana jest nam z natury i którą sami zdobyliśmy. Ta prawdziwa osadzona jest w historycznym działaniu Boga. Wyzwolił nas Jezus Chrystus poprzez swe Przymierze, swój krzyż i swoje zmartwychwstanie. On „uwolnił nas spod władzy ciemności” (Kol 1, 13), z otchłani i grzechu. Poprzez wiarę i chrzest dał nam udział w nowym, wiecznym życiu. Życie nasze nabrało ogólniejszego sensu. Nie jesteśmy już poddani presji losu, a ponad naszym życiem i naszą śmiercią jaśnieje blask tej nowej wol-

ności, która w dużo większym stopniu jest owocem Bożego odkupienia niż rezultatem ludzkiej emancypacji. Pan nasz, ukrzyżowany i zmartwychwstały, to wiecznie jaśniejące słońce naszej wolności. Jesteśmy wolni, ponieważ Bóg poprzez swojego Syna wywyższył nas i uczynił wolnymi.

Obdarowując nas, Bóg oczekuje jednak, iż przyjmiemy tę wolność dzieci Bożych, że jej sprostamy. Także bowiem ona ma swoją cenę i nie wolno nam tej wolności utracić przez lekkomyślność. Powinniśmy okazać się jej godni — i to będzie nasze dziękczynienie. Apostoł Paweł przestrzega: „A zatem trwajcie w niej (wolności) i nie poddawajcie się na nowo pod jarzmo niewoli” (Ga 5, 1).

Jedynie czerpiąc z tej wolności uświadomimy sobie jej obecność. Musimy się zdecydować. Nasze połowiczne „tak” tu nie wystarcza. Podjęcie decyzji oznacza wybór jednej określonej możliwości spośród wielu innych. Decydując się na jakiś plan życiowy, odrzucam inne. Wiążąc się z jednym partnerem, rezygnuję z innych. Polecając się Bogu, odwracam się od bożków.

Nieporozumieniem jest pogląd wyznawany przez wielu ludzi, iż taki jednoznaczny wybór równy jest ograniczeniu własnej wolności, czy też w ogóle rezygnacji z niej. Sam czyni się niewolnikiem ktoś, kto nie chce podjąć ostatecznej decyzji, kto nie może się nigdy na nic odważyć, kto własne decyzje odsuwa na „jutro”. Bóg, który przynosi nam w darze wolność, pragnie, byśmy zdecydowali się na nią.

## BYĆ WOLNYM

My, chrześcijanie, nie śnimy o nierealnej wolności. Jesteśmy realistami dlatego właśnie, że nie jesteśmy jeszcze u celu. Działamy jako ludzie wolni, „nie jak ci, dla których wolność jest usprawiedliwieniem zła” (1 P 2, 16). Wolność to nie *carte blanche* dla rozwiążności i samowoli. Także człowiek wolny przed Bogiem potrzebuje stałych punktów orientacyjnych dla swego działania. W znalezieniu ich pomogą mu przykazania i sumienie. Dopiero właściwa orientacja pozwoli osiągnąć wyznaczony przez Boga cel. Człowiek wyzwolony poczuwa się do zachowania umiaru w zaspokajaniu swoich potrzeb, do samokontroli i ustępstw. Nie powinniśmy pozostawać obojętni na napomnienia płynące z nauk etycznych. Nie godzą one w przymierze, które niesie nam obietnicę wolności, lecz przestrzegają jedynie przed zniewoleniem, którego przyczyną może się stać nasze własne „ja”. „Gotowość do rezygnowania bowiem czyni ludzi bardziej wolnymi, świadomymi swej odpowiedzialności i wyczulonymi na sprawy społeczne” (Alfons Auer). Być wolnym od czegoś — tak zazwyczaj myślimy. Posłannictwo Jezusa przypomina nam natomiast o byciu wolnym dla Boga, dla ludzi, dla miłości.

Człowiek obdarowany wolnością nie pozostanie w izolacji. Będąc wolnym, otworzy się dla innych. Może „uwolnić” siebie samego i siebie innym darować. Może kochać. Może poświęcić siebie, choćby za cenę własnego życia. Tak właśnie uczynił w Oświęcimiu

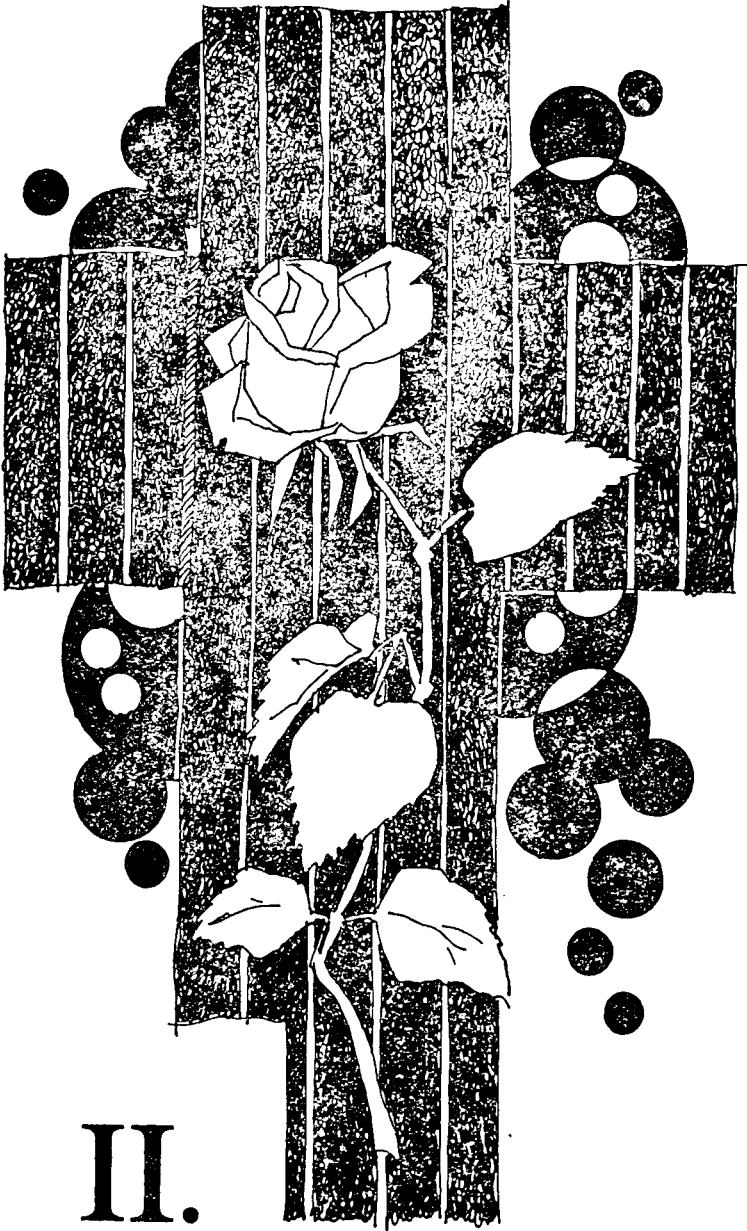


Maksymilian Kolbe. Ofiarował swe życie za jednego ze współwięźniów, kierowany miłością do jego rodziny. Alfred Delp natomiast, na krótko przed wykonaniem wyroku, powiedział: „Gdy to nadejdzie, będę bardziej wolny niż wy wszyscy”. Tak mówić może jedynie ten, kto we wspólnocie z Chrystusem uświadomił sobie, iż zdobędzie swoje życie, ofiarując je Bogu i bliźniemu.

Są to wielkie przykłady wolności urzeczywistnionej. Istnieje jednak mnóstwo przykładów pomniejszych, o równie wielkiej wartości. Do nich należy przykład matki, która dzień w dzień poświęca się całkowicie swoim dzieciom, co jest być może uważane za niemądre. Jest pielęgniarka poświęcająca swój czas na osobiste rozmowy z pacjentami. Dalej młodzi ludzie, którzy od chwili spotkania z matką Teresą, wypracowują w wielkim trudzie „alternatywny” styl życia, sprzeczny z jakże popularnym modelem konsumpcyjnym. Dalej zakonnica, która od dziesiątków lat zajmuje się ułomnymi dziećmi; ojciec, który otwiera drzwi swojemu „marnotrawnemu” synowi; jedno z małżonków, które nie odtrąca drugiego, mimo doznanego zawodu. W końcu robotnik, który jedynie przez wzgląd na rodzinę trwa przy swojej pracy, mimo iż nie daje mu ona najmniejszej satysfakcji. Pomimo wszelkich przymusów i zależności, ludzie ci są wolni. Treścią ich życia jest bowiem ta jedyna zależność, która nie zniewala człowieka. Jest to miłość. Dają oni świadectwo tego, że najwyższą formą samorealizacji nie jest samopotwierdzenie, lecz poświęcenie. Tacy lu-

dzie potwierdzają każdego dnia realność chrześcijańskiej wolności.

Wolność dzieci Bożych realizuje się nie tylko w kontaktach osobistych, lecz także w relacjach społecznych, w życiu politycznym. Także nasze życie ma w jakimś stopniu charakter polityczny. Jak może stać po stronie wolności i ją pomnażać ktoś, kto boi się otworzyć usta, by głośno wypowiedzieć swoje prawdy. Nie wolno nam milczeć, gdy naruszane są podstawowe wartości i deptane prawa człowieka — począwszy od prawa do życia nienarodzonych. Nie możemy wygodnie zasiąść sobie w domowym ciepełku, dopóki uciekinierzy oczekują od nas schronienia, a głodujący i chorzy skazani są na nasze datki. Wolność chrześcijańska nie jest własnością prywatną. Najnowsze dyskusje o dyktaturze Trzeciej Rzeszy i prześladowaniu Żydów pokazały ponownie, jak bardzo potrzeba politycznej czujności i odpowiedzialnego działania. Oczekuje się tego przede wszystkim od nas, chrześcijan.



II.

ODDAJĘ CI  
MOJE SERCE

## ODDAJĘ CI MOJE SERCE

Bóg to nie zbiór regulek. I gdybym nawet aprobował wszystkie zasady wiary, otwarte pozostaje pytanie, czy jestem człowiekiem wierzącym. Wiara nie polega jedynie na tym, że zachowuje aktualność tych czy innych prawd, że zaleca je wszystkim i każdemu z osobna. Wiara pragnie nie tylko być uznawana za prawdziwą, chce być przeżywana. W oparciu o taką właśnie przeżywaną wiarę musimy zaszczepiać prawdę w rzeczywistość naszego bytu. Musimy ją przyjąć i przetransformować za każdym razem w taki sposób, by przeniknęła w głąb naszej istoty. Człowiek, który wierzy, musi wejść w pole oddziaływania Boga żywego. Wtedy dopiero stanie się człowiekiem wierzącym.

Wiara zaczyna drgać, żarzyć się i rozwijać dopiero wtedy, gdy staniemy przed Boskim obliczem i oddamy się swemu Stwórcy bez reszty; gdy niczym pełne ufności dziecko, powiemy Mu swoje „tak”; gdy żyjemy w braterstwie z Jezusem Chrystusem; gdy — jak pisze apostoł Paweł — pozwalamy prowadzić się Duchowi Świętemu (por. Rz 8, 1-17). Życie nasze wypełni się wiarą, gdy ujmiemy w dłonie nasze serce — pełne wątpliwości, trosk i obaw — by oddać je radośnie Bogu. Kościół mówi o tym od wieków... Wierząc, docieramy

do samego jądra naszej istoty i darujemy sobie Bogu. Nie pozostajemy przy tym samotni. Nikt, kto żyje nadzieją, nie jest sam. Trwać możemy jedynie we wspólnocie wiary, nawet gdy jest ona dzisiaj tak bardzo zagrożona.

Czyż będąc małej wiary nie pytamy: Jak to dalej będzie? Nie martwmy się też z powodu „nierozważnej postępowości” Kościoła, która ma jakoby doprowadzić do samozniszczenia tej wspólnoty wiary. Istnieją bez wątpienia jednak i zagrożenia realne. Pojawiają się wtedy, gdy pewni ludzie pragną kształtować Kościół według własnych wyobrażeń, w oparciu o indywidualne zapatrywania, nie kierując się docelowo reformą Kościoła. Dla nich tradycja to jedynie „wczorajszy” rupieć. Znane są również wątpliwości tych, którzy kurczowo trzymają się wszystkiego, co było wczoraj. Uważają oni, iż Kościół stoi przed groźbą samozniszczenia, ponieważ dopuszcza różnorodność formy. Nie lękajmy się jednak. Nie dajmy zaciemnić swego serca i umysłu, nie pozwólmy zniszczyć naszego zaufania ludziom, którzy zarzucają ostatniemu Soborowi Watykańskiemu, iż biskupi z całego świata chcieli zrujnować naszą wiarę, stworzyć nowy Kościół i głosić inną Ewangelię. Przeciwnie! Chodziło o to, by stary Kościół otworzyć dla przyszłości, by przekazywać tę samą Ewangelię we współczesnym języku.

Porzućmy więc upór, fanatyzm i strach. Bądźmy radośni w Panu. Nie mamy czego się obawiać, jeśli ciągle na nowo będziemy gromadzić się wokół ołtarza i przyjmować Chrystusa, jeśli pozwolimy prowadzić się Du-

chowi Świętemu. Bądźmy ufni i zjednoczeni w miłości. Zachowajmy wiarę w sercu. Weźmy ufnie to serce i oddajmy je Bogu.

## WIARA W BOGA TRÓJJEDYNEGO

W swej powieści *Dom, w którym można mieszkać* szwajcarski pisarz, David Wechsler, przedstawia 13-letniego chłopca, którego ojciec jest Żydem, a matka chrześcijanką. Każde z rodziców boi się zdecydować o wyznaniu chłopca, żadne nie chce przeciągnąć go na swoją stronę. I tak oto chłopiec nie ma domu, w którym mógłby mieszkać. Treść utworu podniósł pisarz do rangi przypowieści. Tak właśnie wygląda duchowa sytuacja współczesnego człowieka, który nie może, mimo poszukiwań, odnaleźć ani swego domu, ani ojczyzny.

Człowiek nie znajduje schronienia w materii, bowiem w swym nagromadzeniu wymazuje ona zarówno oblicze człowieka, jak i jego historię. Powoduje osamotnienie i zamieranie. Schronienia nie zapewni nam także technokratyzowany świat. Czyni on z ludzi jedynie kolejne numery, podporządkowuje ich uniwersalnym prawom mechaniki, czyni z każdego wymienną część całości. Maszyny, które stworzył człowiek, narzucają mu teraz własne prawa. Dla komputera np. człowiek musi być czytelny, a jest to możliwe wtedy, gdy zostanie on przełożony na język liczb. Czego przełożyć się nie da, stanie się zbyteczne. Co więc nie jest funkcją, jest bez znaczenia.

Jedynym domem, w którym człowiek może dziś ufnie zamieszkać, jest wiara w Boga Trój-

jedyne. Bóg ten nie unosi się w jakiejś nieokreślonej próżni. On ma swoje imię i woła nas po imieniu. On jest osobą i osoby szuka. On ma oblicze i szuka naszej twarzy. On ma serce i szuka naszego serca.

Poprzez chrzest wstępujemy w trójjedyny byt Boski. Chrystus mówi: „Przyjdziemy do niego (do Ojca) i będziemy w nim przebywać” (J 14, 23). Apostoł narodów natomiast raduje się: „Miłość Boża rozlana jest w sercach naszych przez Ducha Świętego, który został nam dany” (Rz 5, 5). Staliśmy się dziećmi Bożymi, synami i córkami Boga. Dla Boga nie stanowimy funkcji w maszynierii świata, jesteśmy przez Niego umiłowani, mamy własne imiona i własne twarze.

Ponieważ wiara w Boga Trójjedynego stanowi dla nas jedyne prawdziwe schronienie, w jakim możemy dziś żyć, nie wolno nam postępować z tą wiarą lekkomyślnie. Trzymajmy się jej i pozostajmy wierni jej treści. Zaakceptujmy w pełni jasno zarysowane wyznanie wiary Kościoła. Wyznajemy w naszym *Credo*, że jest jeden Bóg w tajemnicy najświętszej Trójcy. Wyznajemy, że Bóg Ojciec stworzył świat i że go zachowuje. Wyznajemy, że Syn zszedł do nas ze swej Boskiej chwały — do naszej nędznej i zagrożonej egzystencji — by dać nam swe życie. Wyznajemy wreszcie, że Duch działa pośród nas jako siła dynamiczna, że jest nam pomocą i wsparciem.

Treść wiary została nam dana i nie możemy jej podważać. Jeżeli teolog raz jeszcze zastanawia się nad poszczególnymi prawdami wiary i ich treścią, to chodzić może jedynie o odsłonięcie przed dzisiejszym człowiekiem sedna

tych prawd oraz o ich przybliżenie. Bóg bowiem jest zawsze taki sam. Jest wierny sobie i nam. Jest On jednak także — według słów św. Augustyna — najmłodszy z nas wszystkich, każdego dnia nowy. W niepojęty sposób nowy; właśnie wtedy, gdy ujęliśmy Jego istotę w nasze ludzkie pojęcia i słowa, On pokazuje nam, iż te nasze pojęcia przerasta.

Historia wiary to droga rozpoczynająca się ciągle od nowa. Ze względu jednak na wierność Boga jest to ciągle ta sama droga i ta sama wiara.

## NAJWYŻSZY STAŁ SIĘ NAJBLIŻSZYM

Pewna nauczycielka, która przyjęła chrzest w wieku 23 lat, wyznała później księdzu: — Chrześcijaństwo sprawiało na mnie zawsze wrażenie pięknej sagi, legendy. Było tak do dnia, w którym na mapie Palestyny zobaczyłam wieś, w której dorastał Jezus oraz miasto, w którym umarł.

To rzeczywiście wspaniałe posłannictwo chrześcijaństwa — w określonym punkcie przestrzeni i czasu rozrywa się zasłona pomiędzy niebem i ziemią; nieznanymi Bóg, fascynujący a jednocześnie straszliwy, ten, którego poszukiwały, a może i miłowały w swych miastach i pod postacią bożków całe pokolenia myślicieli i męczenników, zstąpił pośród ludzi i stał się jednym z nich. Ten Bóg, o którym nawet naród wybrany myślał, że nie można Go zobaczyć bez utraty życia. Najwyższy stał się najbliższym.



Od czasów Jezusa Chrystusa wiemy, że Bóg to nie abstrakt wymyślony przez filozofów dla wyjaśnienia porządku świata. Bóg to nie jakieś nieczułe „ono” czy nieosobowe „coś” — dalekie, ukryte, a może nieobecne. On przebywa pośród nas, Jego radość to wspólne z nami mieszkanie. On idzie za ludźmi, obcuje z tym światem, z problemami i kłopotami swych ludzkich dzieci. Boże imię od czasów Chrystusa wiąże się nierozzerwalnie ze słowem „miłość”. Od momentu, gdy Boży Syn stał się człowiekiem, nasz byt przestał być pytaniem bez odpowiedzi, drogą bez celu i tęsknotą bez spełnienia. Bliskość Boga nie pozwala nam poddać się beznadziei i zwątpieniu. Pozwala nam kroczyć naprzód w pełnej ufności, ponieważ dane nam było poznać, iż nasza przyszłość leży w dobrych rękach.

## ODWAŻYĆ SIĘ NA PRZYJĘCIE JEGO MIŁOŚCI

W jednej ze swoich kalendarzowych opowieści przedstawia nam Matthias Claudius następującą przypowieść: Kilku podróżnych dostaje się z powodu swej lekkomyślności do niewoli. Na poszukiwanie wyrusza jeden z przyjaciół. Odnajduje ich i udaje mu się zdobyć klucz do bram więzienia. Wrzuca więc klucz do lochu i zachęca przyjaciół, by otworzyli drzwi od wewnątrz. Co robią teraz uwięzieni? Jedni twierdzą, że klucz jest nieodpowiedni, inni są zdania, że należałoby go trochę przerobić, ponieważ jest już przestarzały. W ten sposób cała sprawa zostaje „rozmyta”,

a klucz rzeczywiście staje się nieprzydatny. Ludzie pozostają więźniami.

Czyż nie jest tak i z nami samymi? Zadajemy sobie pytanie o cel naszego życia. Poszukujemy ciągle sensu. Często porównujemy siebie do więźniów wpędzonych w niewolę — zarówno własnego „ja”, jak i całego otoczenia. Zapominamy przy tym, że już dawno otrzymaliśmy klucz do wolności — za sprawą chrztu i naszej chrześcijańskiej wiary. W najlepszym jednak razie zgłaszamy ciągle nasze zastrzeżenia albo w ogóle klucz ten ignorujemy. Robimy to tak długo, aż zardzewieje on gdzieś w kącie i stanie się bezużyteczny.

Zastanówmy się więc: W kogo właściwie wierzymy i w czyje imię zostaliśmy ochrzczeni? Wierzymy przecież nie w jakąś myśl czy ideologię; wierzymy w Jezusa z Nazaretu. Był On człowiekiem, tak jak ty i ja. Urodził się i umarł; radował się i cierpiał; przemawiał i milczał; miał przyjaciół i miał wrogów; doznał zarówno akceptacji, jak i odrzucenia. Jak każdy człowiek czuł się samotny i opuszczony. Znał ten ból, którego doznaje człowiek, gdy inni pomawiają go o niesłuszne wywyższanie się, wiedział jak boli szyderstwo. Także Jego udziałem był strach przed śmiercią.

Jezus to prawdziwy człowiek. Pozbawiony jest jedynie Tej niezgodności pomiędzy myśleniem a działaniem, która charakterystyczna jest tak bardzo dla wielu z nas. On nie ma nic do ukrycia. Ci, którzy Go poznali, wiedzą, że można Mu powierzyć siebie bez zastrzeżeń. On nigdy nie zawiedzie.

Jezus to człowiek braterski, wierny towarzysz zarówno uczonych w piśmie jak i fary-

zeuszy, rybaków na morzu, kobiet i dzieci, ubogich i bogatych, wyrzutków i grzeszników, chorych i martwych, zdrowych i kalekich, radosnych i osamotnionych. Jest obecny u boku wszystkich. Przynosi nam radość mówiąc: „Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy utrudzeni i obciążeni jesteście, a Ja was pokrzepię” (Mt 11, 28). Wychodzi nam naprzeciw ze swoją bezinteresowną miłością. Ponieważ jest braterski, w Jego otoczeniu pojawiają się ciągle ludzie złamani życiem, ludzie, którzy stracili twarz. Mogą podnieść się, ponieważ dane jest im poznać, że: Przejrzano cię, ale uczynił to Ten, który cię miłuje i rozumie, który wiedząc o tobie wszystko, nie stracił jednak wiary w ciebie. Przyrzeka On: Dźwigam twoje brzemię i cierpię wspólnie z tobą wtedy, gdy uznajesz, że twój los jest nie do zniesienia.

W Jezusie Syn Boży jest obecny pośród nas — w najgłębszym słowa tego znaczeniu. Nazywa On Boga Ojcem — *Abba*, co za Jego czasów było niezwykłe. Uważano bowiem za gorszący brak szacunku, by do wielkiego i budzącego strach Boga zwracać się w sposób tak poufały. Wezwanie *Abba* objawia nam Jezusa jako prawdziwego Syna Bożego. W tym leży właśnie to, co praeistotne i wyjątkowe w osobie Jezusa. Ważne jest jednak, że Jezus nie tylko nazywa Boga swoim Ojcem, lecz że we wszystkich fazach swego ziemskiego bytu pozwala być Bogu swoim Ojcem. Cały sens Jego życia leży wyłącznie w tym, by wypełniać wolę Ojca i być prawdziwie synem. Dlatego też Boga widzimy we wszystkim, co Jezus czyni i mówi. Dlatego jest Jezus bramą, przez

którą Bóg wchodzi w ten świat, bramą, w której ukazał się nam ten jeden raz Bóg cały. Jeśli więc chcemy wiedzieć, kim jest Bóg w rzeczywistości, musimy spojrzeć na Jezusa Chrystusa. Bóg jest bowiem taki, jak słowa i czyny Jezusa Chrystusa. Jedynie Syn Boży może powiedzieć: „Ja i Ojciec jedno jesteśmy” (J 10, 30).

Dla nas, chrześcijan, jest jednak w Jezusie Chrystusie najważniejsze to, iż włączył On nas w swą relację z Bogiem — ze wszystkimi naszymi pragnieniami i naszą marnością. Także nam wolno z dziecięcym zaufaniem nazywać Boga naszym Ojcem. Otrzymaliśmy, jak wyjaśnia św. Paweł: „ducha przybrania za synów, w którym możemy wołać: *Abba-Ojcze!*” (Rz 8, 15). W tym duchu powinniśmy żyć — nie jako niewolnicy, lecz jako ludzie wolni.

To, czym żyje człowiek, można wyczytać z jego zachowania. Jeśli żyje sobą, to pokazuje jedynie siebie. Kto zaś żyje Bogiem, ten Boga objawia. Dlaczego nie żyjemy życiem prawdziwym? Co jest przyczyną tego, że w życiu naszym tak słabo odczuwamy Bożą miłość i bliskość? Dlaczego nie jesteśmy światłością dla innych? Czyż powodem tego nie jest strach przed pełnym oddaniem się Jego miłości? Czy Bóg może być naszym Ojcem, jeśli sami nie chcemy na to pozwolić, ściskając mocno w ręce nasz własny los? Jezus mówi nam: W twoim życiu wszystko się zmieni. Właściwie poznasz dopiero co to życie, jeśli odważysz się wkroczyć w dziedzinę Bożej miłości. Wtedy to staniesz się prawdziwym, braterskim człowiekiem, sprzymierzeńcem Boga.

## ŻYĆ DAREM MIŁOŚCI

Chrześcijański byt, to byt człowieka obdarowanego niezmierną Bożą miłością. Miłość ta stała się doznawalna w Jezusie Chrystusie. Jego życie było miłością — troską o ubogich, chorych, słabych i odrzuconych, wstawieniem za winowajcami i grzesznikami. Miłością była Jego nauka, w której nierozdzielnie łączył miłość Boga z miłością bliźniego i odebrał pierwszeństwo prawu, proklamując Bożą dobroć. Miłością była śmierć Jezusa. Nie cofnął się On bowiem przed najwyższą ofiarą, by móc wyzwolić człowieka. Błogosławił swych towarzyszy, obmywszy im nogi i modlił się za swych wrogów, zanim w chwili śmierci posłał światu ducha miłości.

Żywot Jezusa Zmartwychwstałego to obecność Jego miłości w Kościele, pośród wspólnoty wierzących. Tutaj Jego posłannictwo życiowe — posłannictwo miłości, przekazywane jest dalej. Tu właśnie, poprzez sakramenty, ciągle na nowo wnikamy w wielką tajemnicę Bożej miłości. Istotę chrześcijaństwa jako religii miłości pojmuje się tam, gdzie ludzie, od czasów Chrystusa, prawdziwie wiedzą czym ta miłość jest, gdzie mogą poprzez Chrystusa odczuwać ją na sobie.

Bóg miłuje nas poprzez Jezusa Chrystusa — jest to zasadnicza i radosna prawda o naszym życiu. Jeśli istnieje jakieś usprawiedliwienie naszej egzystencji, to właśnie fakt, iż jesteśmy przyjmowani przez Boga, a przyjęciu temu towarzyszy dobroć, miłosierdzie, odpuszczenie i miłość. Nie znaleźlibyśmy odpowiedzi na pytania natury zasadniczej — o owe „skąd”

i „dokąd” naszego życia — gdyby nie rozbrzmiewały ponad każdym z nas Boże słowa przepojone miłością: „Wezwałem cię po imieniu, tyś moim” (Iz 43, 1). Wokół nas ziałaby pustka, gdybyśmy za sprawą śmierci i zmartwychwstania Jezusa nie zostali włączeni w owo nieodwracalne Boże „skierowanie się” ku nam. Teraz życie stoi przed nami w całej pełni. Dzięki miłości Bożej jesteśmy, kim jesteśmy.

Postawa, jaka przystoi osobie miłowanej, to pełna wdzięczności radość. Składamy Bogu dzięki za miłość, którą nas obdarowuje, za to życie, które nie przekwita z dnia na dzień, za chleb, kryjący w sobie pełnię obietnicy, chleb, w którym On nam się zawsze ofiarowuje. Radujemy się naszą wiarą, chroniącą nasze życie przed bezsenssem, którego tak się obawiamy, wiarą, która pozwala objawić się w pełnej jasności sensowi naszego bytu.

Stało się złym przyzwyczajeniem, że wymawiając słowa „wiara” i „Kościół”, myślimy o kryzysie, krytyce i niepewności, zamiast o wdzięczności i radości. Krytyka ma swoje prawa i swój czas. Potrzebujemy jej, by móc szczerze wierzyć; by Kościół nie uległ skostnieniu; by nie stał się gnuśny i wygodny. Krytyka jednak nie może zdusić radości płynącej z wiary. Treść i kształt naszemu życiu musi nadawać pełna wdzięczności radość z Bożej przy nas obecności. Obecność ta to Boży dar miłości. Istnieją oczywiście problemy natury teologicznej, które należy krytycznie zgłębiać. Są też wewnątrz Kościoła tarcia, które należy przewycięzać. Nie jest jednak prawdą, iż wszystko uległo zachwianiu. To, co

istotne w naszej wierze, pozostaje — Bóg nas umiłował nieodwołalnie.

Naszą miłość powinniśmy odtąd mierzyć miarą Bożej miłości. Stracony przez hitlerowców ojciec Alfred Delp doszedł do wniosku: „Nikt nie uwierzyłby w przyszłości w przesłanie o zbawieniu i Zbawicielu, gdybyśmy poskąpili swej krwi w służbie człowiekowi”. Jesteśmy wezwani, by dalej przekazywać dar miłości, który sami otrzymaliśmy. Z umiłowanych powinniśmy stać się miłującymi. „To wam przekazuję, abyście się wzajemnie miłowali” (J 15, 17).

## ODPOWIEDZIEĆ NA BOŻE WEZWANIE

Spójrzmy na matkę Jezusa, Marię, tak jak nam ją przedstawia ewangelista Łukasz w scenie zwiastowania. Tu skromna Maria z Nazaretu okazuje się być błogosławiona po wsze czasy. Anioł przynosi pozdrowienie Najwyższego, pozdrowienie samego Boga: „Bądź pozdrowiona, pełna łaski” (Łk 1, 28). Czyż nie jest zniewalające, iż Bóg pozdrawia w ten sposób człowieka? Od samego początku Bóg wybrał Marię do wypełnienia szczególnego zadania w tej wielkiej historii, która przypieczętować miała po wsze czasy Jego przymierze z ludźmi. Pozdrawiając tę błogosławioną poprzez anioła, mówi On jej swoje „tak”, mówi swoje „tak” całej ludzkości. Tak też rozumiana była zawsze scena zwiastowania w tradycji chrześcijańskiej.

Bóg pozdrawia człowieka, a tym samym oznajmia mu: Poprzez ciebie daję początek

czemuś nowemu, co dotąd nie istniało. Daję początek zbawieniu — historii, której szczytowy punkt i sedno stanowić będzie fakt, iż Pan stanie się człowiekiem w twoim własnym ciele. Głos, który to mówi, jest zarówno w swej czystości i wielkości, jak i w swej świętości absolutnie doskonały. Bóg pozdrawia Dziewicę Maryję, a Anioł mówi: „Pan z Tobą” (Łk 1, 28). W tym momencie przerzucony zostaje pomost pomiędzy wiecznością a czasem, pomiędzy niebem a ziemią, między Bogiem a zwykłym człowiekiem, który nie dysponuje żadną siłą. Tu bierze początek Nowe Przymierze, tutaj słońce wdiera się w ciemność, ponieważ tu właśnie otwiera się dla naszego świata Boska brama. Maria wie, iż nie jest godna tego wyboru — jest tą, która otrzymała dar.

Bóg przychodzi do nas, ludzi, zawsze jako obdarowujący, nie zostawia nas samych. W osobie Marii dane jest nam tę prawdę poznać, a poznaniu temu towarzyszy godność i piękno, które nie mają sobie równych. Bóg ofiarowuje człowiekowi pełnię swej łaski i czyni z niego niepodzielnie narzędzie swej miłości i swej obecnej w świecie świętości.

Pan ma się stać człowiekiem. Maria rozumie, że z Bożym pozdrowieniem łączy się wezwanie — oczekuje się od niej wypełnienia pewnego zadania. Odpowiada pytaniem na pytanie, przedstawia argumenty i uzyskuje od Boga odpowiedź. Bóg ją pozdrawia, zapytuje i widzi jej gotowość. W całej czystości swej istoty, w bogactwie uzyskanej łaski, waży się na podjęcie tego zadania z pełnym oddaniem: „Oto Ja służebnica Pańska, niech Mi się stanie według twego słowa” (Łk 1, 38).



Sceny tej nie możemy sobie często wyobrazić. Nie znajduje ona miejsca w naszych sercach. To, co wówczas się wydarzyło, nie jest sprawą dalekiej przeszłości, nie stanowi jedynie epizodu. To wydarzenie oznacza nowy początek, jest niczym nasionko w Bożym Królestwie, które chce wzejść poprzez nas i w nas. Chce się rozwijać i rozmnażać. W końcu także my jesteśmy tymi, których pozdrowił Bóg. Mimo, iż nie jesteśmy z pewnością błogosławieni w tym sensie, jak Maria, to każdy z nas otrzymał swoją łaskę i jest jej być może więcej, niż udało nam się dotąd w naszym życiu odkryć.

Zostaliśmy pozdrowieni przez Boga już na samym początku. W czasie chrztu Bóg Trójjedyny tchnął w nas nowe, niezniszczalne życie Bożych dzieci, życie wieczne. Włączył nas w swój Święty Lud i przyobiecał po wsze czasy wierność — swoje przewodnictwo, gotowość do przebaczenia i miłość nieskończoną.

Gdy mówi się dzisiaj tyle o poczuciu własnej wartości, niejednen co bardziej doświadczony człowiek, uśmiechnie się: O tak, wiem jak jestem marny i ograniczony, wiem, jak często rozczarowuję siebie i innych, jak niewiele jestem w stanie zrobić własnymi tylko siłami. Poczucie własnej wartości to coś niezwykle kruchego, jeśli budujemy je jedynie sami. Jeśli fundament naszej „budowli” stanowi jednak dar Boży, ofiarowany nam w akcie stworzenia i zbawienia, to dane nam jest usłyszeć słowa głoszone przez wszystkie wieki istnienia Kościoła: Chrześcijanie, poznajcie i potwierdzajcie swoją godność!

Nie jesteśmy tworam i przypadku, ani też ulotnymi istotami, które dziś się pojawiają, a jutro znikają. Nie jesteśmy lotnym piaskiem w wirze tego świata, lecz tymi, których powołał Bóg, by powierzyć im jakąś część swego żywota, jakąś iskrę swego żaru. Dlatego też możemy mieć poczucie własnej godności. Uważając siebie za obdarowanych przez Boga, wolno nam czynić Mu dzięki i Go wychwalać, wolno nam rozniecać w sobie radość i nieść dalej ufność, jaką w Nim pokładamy. Możemy zaakceptować życie, ponieważ Bóg pozdrowił nas na naszej drodze, ponieważ nas przyjął. Jesteśmy przez Niego umiłowani.

Bóg nas pozdrowił i postawił nam pytanie, czy jesteśmy gotowi, by wypełnić Jego wolę, czy też skupiamy się na własnym „ja” i sprawach, które chcemy uznać za ważne. Czy jesteśmy gotowi odpowiedzieć na Boże wezwanie w drobnych i wielkich sprawach naszego bytu, tak, by życie nasze stało się piękniejsze, by nabrało większego formatu, by stało się wolne? Człowiek może odpowiedzieć „tak” albo „nie” — na tym właśnie polega jego wolność, którą respektuje także Bóg. Wszystko zależy od nas. Bóg nas pozdrowił i powitał i każdego dnia powołuje nas na nowo do godnych człowieka zadań, zadań, które podobają się Bogu.

Z całą pewnością jesteśmy jednak istotami, które ciągle natrafiają na granice własnych możliwości. Mamy swe słabości i chętnie zatrzymujemy się na powierzchni, rezygnując z dotarcia do głębi. Często nie pojmujemy sensu, godności i powagi chwili. Pozostajemy uwikłani w przesady i wszelkie możliwe

związki, które odciągają nas od dobra. Często dopasowujemy się po prostu do aktualnie panującej mody, a powinniśmy przecież uwolnić się od tego, co nas ogranicza, co niesie ze sobą strach i wikła nas w grzech. Powinniśmy uwolnić się tak, aby mogły w nas znaleźć podatny grunt Boża światłość, radość i łaska, a w końcu też jakaś część Bożej chwały.

## WYRWANI Z CODZIENNOŚCI

Pismo Święte zawiera wiele historii powołań, świadczących o potędze Bożego słowa, skierowanego do człowieka. Bóg nawołuje nas, byśmy porzucili nasze dotychczasowe, zwyczajne sprawy. Historie powołań pomagają uzmysłwić sobie fakt, że Bóg w nieodparty sposób przenika do naszego życia, a naszą reakcją jest zazwyczaj strach lub zawzięty opór. Ludzie nie chcą tak po prostu zaryzykować i zawierzyć się Bogu. Wydaje się im, że w ten sposób zostaną postawieni przed wymogami przerastającymi ich siły, którym nie sprostają do końca życia. Zaczynają zgłaszać zastrzeżenia: „Jestem jeszcze za młody; nie nadaję się; jestem zbyt niezaradny; nie wiem, co powiedzieć”.

Tego typu zastrzeżeń wołający ku nim Bóg nie przyjmuje. Unaocznia im, że jest zawsze obecny, że służy im swoją pomocą. Do tych, których powołuje, mówi jak niegdyś do Jeremiasza: „Nie lękaj się ich, bo jestem z tobą, by cię chronić... Oto kładę moje słowa w twoje usta” (Jer 1, 8 i d.). Słowa te sprawiają, iż powołany przez Boga człowiek udaje się

w drogę, a tym samym podejmuje Boże wyzwanie. Czyni tak, ponieważ Bóg mu zawierzył. Nie mówi teraz: „zobaczę, jak to będzie” ani „muszę to jeszcze przemyśleć”. Wyowiada swoje „tak” bez żadnych zastrzeżeń. Powinniśmy to robić także i my. Poddajmy się Boskiej konieczności, będącej jednocześnie naszą własną koniecznością, która stanowić będzie początek całej dalszej egzystencji.

Powołanie wymaga ciągłej gotowości czynienia tego, do czego Bóg chce wykorzystać powołanego przez siebie człowieka. Powołanie i posłannictwo są bowiem według Nowego Testamentu nierozdzielnie ze sobą złączone.

Posłannictwo oznacza, iż Bóg wyrwał człowieka z jego wyłącznie prywatnej egzystencji, by ten wypełnił swe zadanie w wielkim, uniwersalnym planie Boskiego zbawienia. Wybrany przez Boga człowiek winien oddać się Panu, by jak pisze Urs von Balthasar: „Bóg mógł poświęcić go światu, który ma zostać zbawiony i by człowiek ten mógł zostać wykorzystany — choćby i w stopniu najwyższym — w dziele zbawienia”.

Nowy Testament daje przykłady tej najgłębszej więzi pomiędzy powołaniem a posłannictwem. Wybrawszy 12 uczniów, Jezus wysłał ich: „Idźcie i głoscie: Bliskie już jest królestwo niebieskie. Uzdrawiajcie chorych, wskrzeszajcie umarłych, oczyszczajcie trędowatych, wypędzajcie złe duchy” (Mt 10, 7 i n.). Uczniowie powinni więc głosić to samo, co głosi On: „Bliskie jest królestwo niebieskie”. I oni czynić powinni to, co On uczynił: mają uzdrawiać chorych, towarzyszyć trędowatym, wskrzeszać umarłych, wypędzać złe duchy.

Powołanie chrześcijanina oznacza włączenie go w posłannictwo Jezusa Chrystusa. Słowem i czynem powinien głosić ten, który został powołany, iż ziemia nie jest pozostawiona swemu losowi, że królestwo niebieskie wzięło początek już tu, na ziemi, że zapuściło już korzenie w historię naszego świata. Stało się to poprzez Chrystusa. Powołany powinien unocznąć i pozwolić odczuć innym, że porządku starego świata nie w pełni już obowiązują. Powołany człowiek troszczy się o chorych, którzy pełni obaw i zwątpienia wypatrują miłosierdzia; troszczy się o tych, którzy popadli w niewolę zła i byliby na zawsze straceni, gdyby mieli do czynienia jedynie z siłami ziemskimi. Powołany przez Boga wypowiada też odważnie wojnę śmierci i głosi zwycięstwo życia — nieugięcie, pośród tego zagrożonego i pełnego wątpliwości świata. To zwycięstwo głosi w imię Zmartwychwstałego — dzień w dzień, z nową radością.

## JESLI ZNAJDZIE SIĘ CHOCIAŻ JEDEN

Bertold Brecht napisał w latach 1938 - 40 sztukę paraboliczną *Dobry człowiek z Seczuanu*: Trzej bogowie idą przez świat w poszukiwaniu dobrego człowieka. Po długiej wędrówce znajdują tylko jednego, jest to prostytutka Shen-Te. Mimo, iż nie stać jej nawet na zapłacenie mieszkania, ofiarowuje bogom nocleg. Obdarowana przez nich wielką ilością srebra, kupuje sobie trafikę i postanawia czynić wyłącznie dobro. Jej dobroć i chęć niesienia pomocy rujnują jednak to małe przedsiębiorstwo i Shen-Te widzi tylko jedno wyj-

ście. Wciela się w swego kuzyna Shiu-Ta — człowieka bezwzględnego i egoistę, i w tej roli ratuje sklep i siebie. Bogom wyznaje: Nie mogłam być jednocześnie dobra dla siebie i dla innych. Pomagać sobie i innym, to było dla mnie zbyt wiele. Bogowie opuszczają świat, nie udzielając jej żadnej odpowiedzi. Sztuka kończy się apelem do publiczności: „Szanowni widzowie! Sami poszukajcie sobie zakończenia. Musi przecież być jakiś dobry człowiek. Musi, musi, musi”.

W sztuce Brechta bogowie mówią, „że wszystko jeszcze może być dobre, jeśli znajdzie się chociaż jeden człowiek, który sprostą światu, chociaż jeden”. Tym jednym jest dla nas Jezus Chrystus.

Dobry człowiek, którego w Nim widzimy, potrafił sprostać światu. Jego sytuacja była podobna do położenia dobrego człowieka z Seczuanu. Przez swą dobroć i człowieczeństwo zrujnował siebie samego. Dobry człowiek z Nazaretu przetrzymał jednak „wzloty i upadki”, gdy idzie o przychylność ludu. Jego postawa przyniosła Mu trochę sukcesów, jednak o wiele więcej niepowodzeń. Zdobył kilku zwolenników i wielu wrogów. Na koniec został uwięziony, wyszydzony, umęczony i zabity. Tu widać różnicę pomiędzy Nim a dobrym człowiekiem z Seczuanu. Jezus nie zmienia się w ostatniej chwili w egoistę, by ratować własną skórę. Dotrzymuje wierności swemu posłannictwu i idzie na krzyż, by umrzeć przed bramami miasta, wyobcowany ze swego ludu.

Paradoksem jest, że żywot Jezusa Chrystusa spełni się dopiero w Jego samotnym umie-

raniu. Na Golgocie narodził się w Nim nowy człowiek, a miłość, która została tam odrzuconą, nie umarła, lecz przeżyła swoich oprawców. Na znak pozostawiła nam krzyż. Krzyż ten nie jest niemy — stanowi on protest przeciw nienawiści i wrogości, przeciw egoizmowi i okrucieństwu. Jest niezwykłym rzecznikiem miłości, która jest nieśmiertelna.

Naszą odpowiedzią na to wszystko może być tylko wdzięczna radość. Nie jest więc przypadkiem, że Kościół rozpoczyna każdy tydzień świętem dziękczynienia i pochwałą Wybawiciela. W Jezusie jesteśmy wolni — warto więc to świętować i „nieść dalej”. Strach jest żarliwy, ale radość jeszcze bardziej. Zdajmy się więc na radość! Wynosi nas ona ponad samych siebie i włącza w strumień radości. W obliczu tego, co dokonało się w Jezusie, nie musimy już się smucić. Kto wierzy w dobrego człowieka z Nazaretu, jest wolny od przymusu wiary w siebie samego. W Chrystusie przybliżyło się to, co niewyobrażalne, ponieważ wstępuje On w świat rządzący się innymi prawami, wstępuje wolny od wszelkiego ciężaru, wznosi się ponad rzeczywistość i wyprzedza jej bieg.

W ten sposób nie popadamy w jakieś wyabstrahowane z rzeczywistości marzycielstwo. Chrześcijańska radość, wyrażająca się w modlitwie i świętowaniu, zobowiązuje. Zobowiązuje nas do tej ziemi, ponieważ przyczyną radości jest nieprzemijająca miłość Boga do nas i do naszego świata. Kto doznał tej miłości, zaczyna boleć nad stanem naszego świata — pragnie przewyciężyć nienawiść i obojętność. Jego radość zawiera w sobie protest przeciw

wszystkiemu, co odbiera ludziom radość i rani ich godność.

„Tak też i wiara, jeśli nie byłaby połączona z uczynkami, martwa jest sama w sobie” (Jk 2, 17) — głosi list św. Jakuba. Wiara, której się nie przeżywa, równa jest iluzji. Kołysze się nad naszym życiem niczym papierowa lampionka — jest piękna, ale krucha. Nie żyjemy na wyspie błogosławionych, w oderwaniu od wszelkich międzyludzkich relacji — tych relacji, które innym ludziom nieść mogą zniszczenie. W wolnej od wszelkich zastrzeżeń solidarności z cierpiącymi, głodującymi i odrzuconymi, musimy próbować pomóc innym ludziom w tym, by stali się lepsi. Każdy niech postępuje na miarę swoich możliwości. Nie wolno nam godzić się z bezsensowną przemocą, zagrażającą ludzkiemu życiu. Jako chrześcijanie musimy zawsze pamiętać, że przemoc powoduje jedynie gniew i okrucieństwo, że nigdy nie przynosi rozwiązania. Czuwać musimy z tymi wszystkimi, którzy walczą o człowieczeństwo. Dopiero wtedy dane jest nam poznać radość, tę porywającą radość naszego Boga, która wg. słów teologa Jürgena Moltmanna „Jest głębsza niż gniew i troska, a jej tchnienie trwa dłużej, niż wszelkie zło świata”.

## PRZYBYCIE PANA

W ciągu każdego roku kościelnego wspominalimy cielesne przyjście Boga, Jego zapoczątkowaną już obecność pośród nas, ludzi. Nie chodzi tu o ogólną Bożą obecność w na-



szych myślach i doświadczeniach, lecz o fakt historyczny. Przyjście Jezusa uczyniło historyczną rzeczywistością przepowiednie proroków narodu wybranego — to wszystko, co unosiło się nad Starym Przymierzem niczym świetlisty znak przemienionej przyszłości. Światła, które zapalamy w czasie adwentu, służą nie tylko rozjaśnieniu smutnej pory roku. Są one w dużo większym stopniu znakiem owej niosącej pociechę pewności, iż w ciemności betlejemskiej nocy rozblęła właśnie światłość świata. W osobie Jezusa z Nazaretu Bóg wkroczył do naszego świata jako człowiek i odtąd nie można już rozdzielić od siebie nieba i ziemi, Boga i człowieka. Z gruntu fałszywe są więc wszelkie rachuby pomijające Boga i Jego plany. Od dawna jest On bowiem włączony w historię naszego świata i należy brać Go pod uwagę w naszych własnych zamierzeniach. Chrystus nie jest mitem, jest historią. Bóg mieszka pośród nas jako *Emmanuel* — jako miłość wcielona, ucieleśnione dobro i życzliwość.

Okres adwentu nawołuje nas do religijnej i obyczajowej odnowy. Jest to czas naszej wzmożonej gotowości na przyjście Chrystusa i intensywnej, chrześcijańskiej ascezy. Adwent, przyjście Chrystusa do ludzkiej historii, to nie jednorazowe wydarzenie w Betlejem. Niemieccy mistycy twierdzą, że bardziej chodzi tu o wieczne narodziny, o ciągle powracające zstępowanie boskiego elementu do elementu ludzkiego. Dziecię, któremu z ziemskich dóbr wystarczał żłobek, żąda od nas ciągle całego naszego serca. W tym duchu napomina siebie i nas poeta, Angelus Silesius: „Muszę być

Marią i zrodzić w sobie Boga". Musimy przygotować się na przyjście Boga do naszego życia. Bóg kołacze cicho do naszych drzwi, nie próbuje ich otworzyć siłą. Przed tym Bogiem, który w osobie Jezusa stoi pod naszymi drzwiami i kołacze (por. Ap 3, 20), nie otworzyliśmy jeszcze na oścież drzwi do naszego codziennego życia. Dlatego adwent trwa nadal i nadal trwa czas przygotowań na przyjście Boga do naszego życia.

Adwent ma jeszcze inny sens. Któregoś dnia ma powrócić Pan, by dopełnić Królestwo Boże w stałej potędze i chwale. Na to właśnie powinniśmy być przygotowani. Współczesny chrześcijański poeta, Rudolf Otto Wiemer, obrazowo przedstawił biblijne wezwanie do czuwania: „Wyjdźcie na dworzec po syna, ponieważ ma przybyć. Zjawi się na pewno, choć nie wiadomo którym pociągiem. Trzeba więc, by ktoś od czasu do czasu tam wstępował, bo możemy się z nim rozminąć. Ma przybyć tylko raz”.

Ludźmi, którzy przede wszystkim chodzą na dworzec historii, by oczekiwać tam Pana, są zakonnicy. Czynią to także w zastępstwie tych wszystkich, którzy zajmują się innymi sprawami. To właśnie ludzie z zakonów kierują swe życie bardziej świadomie ku sprawom ostatecznym. Życie zakonne krzewi prawdy głoszące, iż kształt tego świata przemija, iż wszystkie ludzkie porządki i wartości mają charakter doraźny, że pełne panowanie Boga oraz ostateczna forma ludzkiego życia dopiero nadejdą. Zakonnicy czują się więc zobowiązani, by w szczególny sposób dawać świadectwo nadziei na ponowne przyjście

Pana, na nowe niebo i nową ziemię. Ze względu na tych wielu, którzy dali się zniewolić wymogom chwili oraz swoim własnym zachciankom, o których Dante mówi, iż „zapatrzeni są tylko w ziemię”, potrzebni są właśnie ci nieliczni, którzy swym postępowaniem wykażą, w jak dużym stopniu podlega nasze życie prawu przejściowości. Dotyczy to również życia Kościoła.

Oto wypowiedź sławnego fizyka i filozofa, Carla Friedricha von Weizäckera: „Kościół, który nie oczekuje ponownego przyjścia Pana, zatracił sens swego istnienia, swój punkt ciężkości”.

## PONIEWAŻ ON JEST OBECNY W NASZYM ŻYCIU

Pytanie o Boga to nie jest intelektualna zabawa. Od odpowiedzi jednak zależy, czy nasz byt zostanie ukoronowany sensem, czy też przypominać będzie absurdalny teatr. Kim jest Bóg? Czy kryje się w wielkim wszechobecnym milczeniu, które jest nam w końcu obojętne, czy jest farsą, tworem naszych snów i obaw? A może jest naszą ucieczką, dobrem, ojczyzną i nieskończonym pięknem?

Wszystkie wypowiedzi na temat Stwórcy nie byłyby jednoznaczne, gdyby Bóg sam nie odsłonił swego oblicza, gdyby nie wyszedł z ukrycia. To, co głosili prorocy pośród ludu Izraela, objawiło się owej Świętej Nocy, gdy słowo Boże stało się człowiekiem. Wydarzenie to miało charakter historyczny — ukazała się

nam wcielona „dobroć i miłość Zbawiciela, naszego Boga, do ludzi” (1t 3, 4).

Teraz wiemy już, jaka relacja zachodzi pomiędzy Bogiem a nami. Nie jest On dyktatorem, który nieufnie trzyma swój lud w ryzach. Nie traktuje nas jak słabe, nie nie znaczące istoty, nie prowadzi niejasnej gry. W swoim jednorodzonym Synu, który mówi: „Kto Mnie zobaczył, zobaczył także i Ojca” (J 14, 9), daje się nam poznać jako dobro skończone, jako miłość, która niesie nam ratunek. W Chrystusie ostateczny kształt przyjmie Boża bliskość wypełniona miłosierdziem. Mamy już teraz pewność: Nie jesteśmy przypadkowymi istotami pozbawionymi swego miejsca, a nasze poszukiwania nie przemijającego sensu nie wpływają się gdzieś we wszechświecie. Poprzez Jezusa mówi do nas Jego i nasz Ojciec. Kościół wyznaje teraz z wdzięcznością: „Dziecię nam się narodziło, Syn został nam darowany” (Iz 9, 5a). Dzięki temu umiłowanemu Synowi, którego Bóg wysyła pośród nas, świat nie idzie na stracenie, a nasz byt ziemski znajduje swe uzasadnienie. O Tym, który stał się człowiekiem, pisze Teilhard de Chardin: „Nie jest On przydanym światu ornamentem, ani nie jest królem — mimo iż próbujemy Go tak przedstawiać. On jest początkiem i końcem, fundamentem i zwieńczeniem, spełnieniem i tym, który spełnia”. W Nim trwa wszechświat i poprzez Jego życie, krzyż i zmartwychwstanie historia świata zyskała swoją aprobatę.

W Nim objawił się nam ostateczny obraz człowieka. My sami nie we wszystkim jesteśmy „pozytywni” — kotłuje się w naszej duszy wielkość i małość, szlachetność i podłość. Tak

było wtedy, a dzisiaj też nie jest lepiej. W jednym z artykułów prasowych odnotowano, iż w XX wieku zepchnięto do roli niewolników o wiele więcej ludzi niż w wiekach wczesnych. Ilu z nich pełni rolę przedmiotów czy użytecznych idiotów, ilu stało się jedynie „środkami do celu” dla silnych, którymi kieruje chciwość i egoizm? Człowieczeństwo wydaje się być czymś ubogim w treść i przepelnionym chaosem, i to pomimo całego oświecenia i postępu, pomimo emancypacji i wielkich słów.

W ten zagrożony, podupadający świat wchodzi Jezus. Wchodzi jako człowiek złączony z nami więzami krwi. Tworzy prawdziwy obraz człowieka i nie obiecuje nam przy tym rajy na ziemi. Wkracza jednak w naszą historię po to, by uwolnić nas od śmiertelnego samowyobcowania, któremu nie możemy podołać o własnych siłach. To, co przynosi i zakorzenia w naszym życiu, to czysta miłość. Nie zagarnia nas, by nas wykorzystać dla jakichś interesów, lecz darowuje się z osobna każdemu. Chce być także bratem tych najuboższych i najbardziej grzesznych.

Tym nas wiąże, a jednocześnie w ten właśnie sposób chce poprowadzić ku nie przemijającej wolności. Nie chce nam niczego odbierać. Wolnymi ludźmi będziemy jedynie wówczas, gdy trzymając się Jego ręki, pozostawimy za sobą naszą nietrwałą władzę nad nami samymi i odnajdziemy się w dziecięctwie Bożym. Zostaliśmy wyzwoleni z pęt strachu i śmierci. Otwiera się dla nas teraz przestrzeń niezniszczalnego Bożego życia, ponieważ udziałem naszym staje się, w miejsce winy, odpuszczenie i radość.

Jezus Chrystus stanowi rękojmię całkowicie nowego zaufania. Ponieważ stoi On przy nas, nikt nie potrzebuje już przeklinać dnia swoich narodzin ani też rozdartego świata. Pragnę zacytować tu słowa przesłania bożonarodzeniowego, a są to słowa ojca Delpa, skazanego na śmierć przez nazistów: „Bóg staje się człowiekiem. Człowiekiem, nie Bogiem. Zaufajmy życiu, ponieważ ta noc musiała przynieść światło. Zaufajmy życiu, ponieważ nie musimy go przeżywać samotnie. Będzie z nami Bóg”.

## KTÓŻ CHCIAŁBY SPAĆ W TĘ NOC?

Ojciec Kościoła, Efrem Syryjczyk, poruszony tajemnicą świętej nocy, postawił pytanie: „Któż chciałby spać w tę noc, gdy czuwa cały wszechświat?”. Świętujemy pełne miłosierdzia zstąpienie Pana w nasz ludzki byt. Dzieciątko w żłóbku to nie półbóg i półczłowiek, lecz prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek. Taka jest treść misterium, które w tę noc jest znów obecne pośród nas. Chce ono ogarnąć nas wszystkich bez reszty, mimo iż nie jesteśmy w stanie pojąć go całkowicie.

Jest jednak wielu obojętnych, którzy okazują się być zupełnie niewrażliwi na tamto wydarzenie. Dla wielu, jak pisze Hermann Hesse, stało się Boże Narodzenie „magazynem trucizn, w którym składowany jest wszelki mieszczański sentymentalizm i zakłamanie”. Nie powinno nas to jednak odciągać od próby zbliżenia się do jądra tej światłości, która zaświeciła w czasie betlejemskiej nocy. Uczyńmy

nasze wnętrze dostępne dla zbawczej rzeczywistości tego zdarzenia i słuchajmy z uwagą, godną tamtych pasterzy, co rzecze Anioł: „Nie bójcie się. Oto zwiastuję wam radość wielką, która będzie udziałem całego narodu: dziś w mieście Dawida narodził się wam Zbawiciel, którym jest Mesjasz Pan” (Łk 2, 10 i n.). Osiągnięty został cel, do którego zmierzała ludzkość od samego początku. Bóg zstępuje jako Zbawiciel w naszą historię. Nie jest On Bogiem tronującym w oddali, dystansującym się wobec naszego świata. Poprzez dziecko Marii, Człowieczego Syna, wszedł w nasz codzienny byt. Złączył się z materią świata, stał się obecny w wirze naszego życia. Przybył na zawsze i do każdego z nas. Jak mówi Ewangelia, Bóg w widoczny sposób stanął po stronie człowieka. Jakkolwiek niewiarygodnie by to zabrzmiało — nad naszą, jakże często mroczną ziemią, nawiedzaną przez cierpienie i śmierć, głód i nędzę, przemoc i nienawiść, zajaśniała nieprzemijająca światłość. Boży posłańcy zwiastują nam wielką radość, tak wielką, że trudno nam ją w pełni pojąć. Sam Bóg — w tym dziecku, swoim synu i naszym bracie — wypowiedział do człowieka swoje „tak”. Nieodwołalnie. I nic tu nie znaczą próby negacji chrześcijańskiego poglądu na Boga, dokonywane przez różnych oświeconych sceptyków.

W jednej ze swoich powieści Samuel Beckett przedstawia następującą historię: „Pewien kaleki człowiek z wielkim trudem, lecz uparcie, idzie przez las. Nigdy nie będzie mu dane stanąć u celu, a wszelkie poszukiwania prowadzą go jedynie na manowce. W końcu zostaje ślepcem i kończy swą drogę dokładnie tam, gdzie

ją rozpoczął — na dnie rowu, w ciemności i gęstwinie”. Niestety, także w naszych czasach wielu ludziom wydaje się, że są jedynie oszukany mi tragarzami własnego losu, że ciągle trafiają na pustkę i ciemność. Niejednemu chce się płakać w tę „cichą, świętą noc”. Wielu jest nieszczęśliwych, bo przegrali swoją szansę, przybitych z powodu nieudanego małżeństwa, napełnionych smutkiem z powodu zerwanej przyjaźni, dręczonych poczuciem bezradności czy winy. Innych znów nęka strach przed wyniszczającą chorobą, bezrobociem, samotnością. Samotność tych, którzy są w tę Chrystusową noc sam na sam ze swymi łzami, jest jeszcze bardziej gorzka niż samotność w ogłuszającym hałasie codzienności. Statystyki wykazują, że w Wigilię wzrasta gwałtownie liczba samobójstw. I właśnie w okresie Bożego Narodzenia otrzymałem od młodego człowieka cytowany poniżej list: „Nie cierpię życia, tak samo jak śmierci”.

W tej naszej nędzy i zwątpieniu słyszymy Boży głos, który nas zaklina: Nie odrzucajcie swojego życia, nie lekceważcie go! Moje przyjście to dla was przyszłość. Na tej Bożej obietnicy budować może swe życie każdy, nawet ten najbardziej opuszczony.

Włączmy się więc wszyscy w to niosące pociechę i nadzieję Boskie „tak”. Poważajmy i chrońmy każde życie, ponieważ samo z siebie posiada ono niezniszczalną godność.

Nie możemy godzić się na to, by nasze społeczeństwo coraz bardziej beztrosko postępowało z nienarodzonym życiem, by spychało życie stare i „zużyte” na margines, by oceniało życie chore i ułomne jedynie z ekonomicz-



nego punktu widzenia i by obrażało je, nazywając „bezużytecznym”. Dajmy wyraz naszemu oburzeniu, gdy gdzieś w świecie gwałcone są prawa człowieka, gdy nędza i ucisk są zwyczajne, gdy w okresie Bożego Narodzenia tylko na chwilę cichną odgłosy wojny.

Narodziny Pana to dar dla nas i jednocześnie zobowiązanie. Naszym zadaniem jest głoszenie bożonarodzeniowego posłania tu i teraz, słowem i czynem. Do nas należy zapewnienie Bogu „wolnej drogi” przez naszą historię.

## NAZNACZENI POPIOŁEM I KRZYŻEM

Zgodnie ze starym zwyczajem w popielcową środę ksiądz kreśli popiołem znak krzyża na naszych czołach. Popiół i krzyż: popiół to symbol przemijania; krzyż to znak wieczności. Oba symbole — życia i śmierci, pokazują pełną prawdę o naszym bycie.

„Prochem jesteś i w proch się obrócisz”. Śmierć i proch są pewne. Począwszy od narodzin umieramy, wychodzimy śmierci naprzeciw, nosimy w sobie znamię rozkładu. Stąd też bierze się popiół na naszych czołach w popielcową środę i słowa: „Pamiętaj człowiecze, że prochem jesteś i w proch się obrócisz”.

Popiół ten przyjmuje jednak na naszych czołach znak krzyża. W ten bowiem sposób chce nam Kościół przypomnieć, iż to, że jesteśmy prochem, nie jest jednak prawdą ostateczną. Poprzez zwycięstwo Chrystusa na krzyżu zostaliśmy powołani, by przejść przez śmierć i proch, i wejść w Boże życie. Poznawszy, że jesteśmy prochem i popiołem, zrozu-

miemy dopiero w całej pełni, co oznacza, iż jesteśmy zbawieni; że śmierć Chrystusa chroni nas przed śmiercią wieczną. Jesteśmy uratowani nie mimo śmierci, lecz poprzez nią. W nieszczęściach i lękach naszego ludzkiego bytu doświadczamy w dostatecznym stopniu, iż jesteśmy naznaczeni przez śmierć. Nie wolno nam jednak przy tym zapomnieć o innej prawdzie. Głosi ona, że jako ochrzczeni nosimy w sobie życie stokrotnie potężniejsze od śmierci. Gwarantem tego jest święto zmartwychwstania Pańskiego, na które przygotowujemy się przez 40 dni.

## Z KRZYŻA ZBAWIENIE

W kościołach i wielu domach, na ulicach i polnych drogach krzyż ma swoje stałe miejsce. Wszyscy znają ten symbol chrześcijaństwa; jest on też często stosowany jako ozdoba czy amulet. Niejednokrotnie obchodzimy się z nim rutynowo i bezmyślnie, i dlatego konieczne jest, byśmy uzmysłowili sobie znowu jego sens.

Krzyż, który mamy na myśli my, chrześcijanie, odsyła nas jednoznacznie do Jezusa z Nazaretu. On to został przygwożdżony do drzewa krzyża na wzgórzu koło Jerozolimy. Jego ukrzyżowanie nie było zdarzeniem jednorazowym. To prawda aktualna po dziś dzień. Śmierć na krzyżu nie była czymś wyjątkowym. Kimś wyjątkowym był ten, który został ukrzyżowany.

Jego życie pokazuje, że w swej publicznej działalności w Galilei i Judei przejrzał On za-

miary swych przeciwników, którzy chcieli Go zniszczyć za wszelką cenę. Znał swoich oponentów, znał ich pytania i argumenty, i nie uchylał się od konfrontacji. Przeczuwał, że Jego droga do Jerozolimy w święto Paschy może być drogą ostatnią, a mimo to odbył tę pielgrzymkę do miejsca, gdzie czekała Go gorczy śmiertelnej walki.

Ukrzyżowanie to wyrok okrutny. Jezus bał się i miał nadzieję, że ten kielich Go ominie. Tak się jednak nie stało. Nie zostały Mu oszczędzone ani więzienie, ani tortury, ani wyrok. Wzmocniony Bożą siłą mógł jednak przyjąć tę gwałtowną śmierć. W Wieczerniku w Jerozolimie podkreślił, że Jego śmierć to pełne miłości oddanie się ludziom, to Jego wkład w zbawienie świata: „To jest Ciało moje, które za was będzie wydane” (Łk 22, 19).

„Ten kielich to Nowe Przymierze we Krwi mojej, która za was będzie wylana” (Łk 22, 20). Dobrowolnie przyjął tę zbawczą służbę i wytrwał w niej aż do końca, w największym osamotnieniu.

Także dla Jezusa krzyż pozostał czymś niepojętym i straszliwym, a mimo to zgodził się nań posłusznie. W tym nieuniknionym krzyżu widzi wolę Bożą: „Syn Człowieczy odchodzi według tego, jak jest postanowione” (Łk 22, 22). Nie próbuje uciekać przed tą koniecznością, nie poddaje się też zwątpieniu i rezygnacji. Ufa w pełni swemu Ojcu i pozostaje wierny. Mimo biczowania, korony ciernionej i ukrzyżowania, nie zostaje odcięty od pełni Bożego, niezniszczalnego życia — od przyszłości, będącej jednocześnie Jego przeszłością, przyczyną Jego przyjścia.

Tak więc możemy powtórzyć za Jego pierwszymi naśladowcami: „Jezus z Nazaretu jest »dawcą życia«” (Dz 3, 15). Biorąc na siebie krzyż i cierpienie wyprzedził nas w zmartwychwstaniu. Jako Jego uczniowie możemy czuć się wyzwoleni od paraliżującego strachu i depresji. We wspólnocie z Nim zyskujemy siłę wytrwania i gotowość poddania się Bożej woli.

## PASJA JEZUSA TRWA NADAL

Pasja Jezusa nie zakończyła się, jest ciągle obecna. Nas wszystkich dotyczą słowa Pana: „Jeśli kto chce pójść za Mną, niech się zaprze samego siebie, niech weźmie krzyż swój i niech mnie naśladuje. Bo kto chce zachować swoje życie, straci je; a kto straci swe życie z mego powodu, znajdzie je” (Mt 16, 24-25).

Apostoł Piotr, który na własnym ciele doświadczył ciężaru krzyża, raduje się swymi cierpieniami. Dlaczego? Nieugięcie idąc swoją drogą krzyżową, czuje się zjednoczony z Chrystusem i może obdarować innych — poszukujących i uciemnionych — tym, co sam otrzymał w darze. „Teraz raduję się w cierpieniach za was i ze swej strony w moim ciele dopełniam braki udreń Chrystusa dla Jego Ciała, którym jest Kościół” (Kol 1, 24) — wyznaje w liście do Kolosan.

Wspólne cierpienie z Panem stało się upodobaniem prawdziwych wyznawców Zmartwychwstałego. Trudno zliczyć tych, którzy byli i są męczennikami krzyża. W swym po-

żegnalnym, niezwykle przejmującym liście biskup Kościoła pierwotnego wyraził się w sposób następujący: „Jestem ziarnem pszenicznym Chrystusa. Muszę zostać zgnieciony zębami dzikich zwierząt, by stać się chlebem czystym Chrystusa” (Ignacy z Antiochii, zm. 107 r.).

Po dziś dzień wielu znanych i nieznanych chrześcijan złączyło swój krzyż z krzyżem Pana. Ich własne cierpienie to dla nich żywe naśladownictwo krzyża.

Podam tu dwa przykłady z naszych czasów:

Zakonnica i filozof, Edyta Stein, zagazowana w Oświęcimiu z powodu swego żydowskiego pochodzenia, pisała 10 lat wcześniej do swej uczennicy: „Łącząc się z Panem, stajemy się członkami mistycznego ciała Chrystusa. Chrystus żyje w swych członkach nadal i nadal cierpi. Cierpienie, które znosimy w zjednoczeniu z Panem, to Jego cierpienie. Przynosi ono owoce w wielkim dziele zbawienia”. Wstępując do zakonu karmelitanek przybrała sobie Edyta Stein wiele mówiące imię zakonne — *Benedicta a cruce* (błogosławiona od krzyża).

Także matka Teresa zapewnia nas: „Cierpienie w sobie jest niczym. Cierpienie jednak, które bierze udział w pasji Chrystusa, jest wielkim darem. Tak, to największy dar dla człowieka, gdy może współuczestniczyć w cierpieniu Chrystusa”.

Czyż wielu z nas nie czuje już, co znaczy głosić Chrystusa Ukrzyżowanego (por. 1 Kor 1, 23)? Powinniśmy głosić Go całym naszym ziemskim życiem.

## ŻYCIE WYPEŁNIONE KRZYŻEM

Krzyż Jezusa to wyzwanie dla nas wszystkich, byśmy nieśli swój krzyż i brali krzyż innych na siebie. Powinniśmy sprostać rzeczywistości naszego życia, tzn. wytrwać, „pozostać pod krzyżem” — naszym własnym i naszych braci. Nie wolno nam dopuścić, ani przyczynić się do tego, by religia krzyża przerodziła się w religię dobrobytu (uchwała synodalna z Würzburga *Nasza nadzieja*).

Istnieje niebezpieczeństwo, że będziemy uciekać panicznie przed cierpieniem. Wielu z nas próbuje w wyrafinowany sposób odsunąć od siebie każdy rodzaj cierpienia. Wielu nie czuje się już nawet zdolnymi do życia ze swoimi ranami. W strachu przed bólem protestują przeciw wszystkiemu, co potencjalnie mogłoby zakłócić ich wymarzony „stan rozkwitu”. Ratują się ucieczką w świat marzeń lub prowadzą upartą grę z przeciwnościami losu. Gdy jednak cierpienia ich w końcu dosięgną, uciekają w alkohol, środki uspokajające lub narkotyki, by tylko nie stracić iluzji szczęśliwego życia. My, chrześcijanie, musimy przeciwstawiać się takiemu „zakazowi cierpienia”, obowiązującemu w naszym społeczeństwie. Nie wolno nam przekształcać „nauki krzyża” w naukę o raj, którego twórcą ma być człowiek.

„Opór i akceptacja” (Dietrich Bonhoeffer) — te słowa charakteryzują stosunek do krzyża Chrystusa i nas, chrześcijan. Stawiamy opór, próbując złagodzić ból i wyeliminować go z tego świata. Walka z nędzą ludzką odpowiada naszemu chrześcijańskiemu powołaniu. Na-

sze „pogodzenie się” pozwala nam przetrzymać to, czego nie możemy zmienić, a jednocześnie mieć nadzieję, że „ten kielich” zostanie nam oszczędzony. Do istoty chrześcijańskiego bytu należy gotowość do cierpienia i znoszenia przeciwności w tym naznaczonym krzyżem życia. Obok cierpienia, którym można zapobiec, istnieją zawsze problemy i ciężary, z których istnieniem musimy się pogodzić. Jeśli ktoś próbuje pokonywać trudności, kierując się wiarą, dane mu będzie poznać — także i dzisiaj — że nawet najcięższy krzyż może zmienić się w błogosławieństwo i pokój dla nas i naszych bliźnich.

Najpierw jest własny krzyż, cierpienia na własnym ciele i duszy, cierpienia, które nie zawsze dają się uleczyć ludzkimi siłami. Spaliżowani i ułomni, przeciążeni pracą, zgnębieni nędzą materialną i duchową, członkowie rozbitych rodzin, katowane dzieci, torturowani i wypędzeni, ciężko chorzy i pochyleni wiekiem — wszyscy oni powinni zwrócić uwagę na drogę cierniową Chrystusa. Wszyscy musimy nauczyć się nieść krzyż, także wspólnie z innymi i iść za Chrystusem. Musimy wspólnie pokonywać Jego strach i ufać, że zostaniemy zbawieni, a nasz byt dopełni się w zmartwychwstaniu.

Są też krzyże innych, cierpienia w całym świecie — konflikty, niesprawiedliwość społeczna, wyzysk i ucisk, polityczna dyskryminacja i tortury, głód i nędza. Często zbyt dobrze czujemy się we własnej skórze i pozostajemy ślepi i głusi na cierpienia tego świata. Naśladownictwo krzyża leczy z tej ślepoty.

Kto naśladuje Jezusa, ten otwiera swoje serce na każdą potrzebę. Za cenę własnej ofiary uwalnia innych od cierpień i czyni ich krzyż znośnym. Kardynał Julius Döpfner w jednym z listów pasterskich napomina usilnie wierzących: „Ze względu na Ukrzyżowanego zaklinam was: Nie pozwólcie wołać na próżno Panu głosem naszych cierpiących braci! Inaczej bowiem możecie wyrzucić krzyż ze wszystkich ścian i wież. Żąda się bowiem sądu nad ludem, który określa się mianem chrześcijańskiego, a kieruje się zasadą egoizmu i nienawiści”.

Dopóki całe stworzenie „jęczy i wzdycha w bólach rodzenia”, nie może być ani wybawionego świata, ani świętego Kościoła. Nawet gdy uczynimy już wszystko, co możliwe, by złagodzić cierpienia, to nadal będą istnieć cierpiący. Nie będziemy mogli zaoferować im nic innego jak naszą ludzką bliskość i naszą prośalną za nich modlitwę. Jedynie miłość ma tu siłę zdolną do czynienia odmiany.

Zgodnie z Nowym Testamentem cierpienie i znoszenie cierpienia to najważniejsze aspekty naszej ludzkiej egzystencji. Dlatego wyznajemy zawsze w czasie uczyty eucharystycznej: „Głosimy śmierć Twoją Panie Jezu, wyznajemy Twoje Zmartwychwstanie i oczekujemy Twego przyjścia w chwale”. Nie jesteśmy sami — Boża siła wspiera nas w naszej słabości. Jego pomoc jest pewna. Teresa z Avili błagała: „Gdybyż Bóg zechciał pozwolić nam zrozumieć, jak wiele Go kosztowaliśmy. Gdybyż pozwolił nam poznać, że sługa nie jest niczym innym, niż panem”.



## „ŚWIATŁOŚĆ ROZJAŚNIŁA TWÓJ STRACH”

Nelly Sachs, pisarka żydowska, ciężko dotknięta przez los, pisze w jednym ze swych późnych wierszy: *Niech lzy uwolnią cię od ciężaru trwogi... twoje lzy wkładam w te słowa: Światłość rozjaśniła twój strach.*

Tekst prawdziwie wielkanocny! Możemy wypłakać nasze obawy, kłopoty i smutki. Nie musimy dusić w sobie różnych problemów dnia powszedniego. Mimo iż nie znajdujemy się w centrum „świętego” świata, wolno nam zaśpiewać Alleluja — mimo wszelkiego zła. Powiedzmy głośno o naszych wszystkich cierpieniach — tych cichych i tych uporczywych, o cierpieniach, które są udziałem nas samych i naszych współbraci: to płacz niezliczonych dzieci, głód milionów, niedorzeczność ciągle nowych wojen, nie dotrzymana wierność wielu małżonków, bezlitosna walka konkurencyjna, prześladowanie i torturowanie bezbronnych ludzi, beznadziejność nieuleczalnych chorób i ból po stracie najbliższych, bezsens straszliwych wypadków i klęsk żywiołowych — a także nasz strach przed niepewną przyszłością, przed zawodową porażką, przed starością i samotnością, nasz strach przed śmiercią. Wszystko to nas przygniata. Dokonało się jednak Zmartwychwstanie i poprzez nie — poprzez zwycięstwo Chrystusa nad śmiercią, ten przełom na korze życia, dla nas dokonany — „wyszedł na światło” nasz strach i wszystko, co ze sobą niesie. Skierował się ku nowemu światłu, temu, które niesie zbawienie.

Przypominają mi się pamiętniki 90-letniej już prawie Rose Kennedy. Urodziła dziewięcioro dzieci. Córka Rosemary zapadła na chorobę psychiczną. Trzech synów zginęło gwałtowną śmiercią — Joseph w 1944 r. w wypadku lotniczym, John, prezydent USA, w 1963 r. zastrzelony przez zamachowca oraz Robert, który w pięć lat później podzielił ten sam los. Niewiele później zmarł mąż Rose. Jak można temu wszystkiemu podołać? Pani Kennedy pisze: „Często odbywam drogę krzyżową Jezusa w kościele. Klęczę przed każdą stacją. Widzę, jak Jezus trzykrotnie na tej drodze upada — przytłoczony ciężarem krzyża i swym fizycznym wyczerpaniem. Widzę, jak dalej idzie swą drogą bez cienia skargi. Nowej siły i odwagi dodaje mi myśl, że podobnie jak Chrystus, zmartwychwstaną także moi synowie i mój mąż, że zjednoczą się ze mną na zawsze. Mój duch zostaje odnowiony, moje serce się raduje. Dziękuję Bogu za moją wiarę w Zmartwychwstanie, próbując jednocześnie otrzeć łzy”.

Takie świadectwo wiary w Zmartwychwstanie daje chrześcijanka. Ta kobieta nie tłumi w sobie strachu i bólu, wypłakuje go — jednak nie „gdziekolwiek”, ale przy drodze cierniowej Jezusa. W tym miejscu, z którego początek bierze zbawienie.

Zwróćmy się i my, ze wszystkim co nas gnębi, do Pańskiego krzyża. Krzyż ten jest jedynym źródłem światła, które może rozjaśnić wszelkie cierpienie tego świata, aż po śmierć włącznie. Każda ludzka obawa wchodzi tu w krąg światłości.

W dzień Zmartwychwstania powinniśmy być jak Maria Magdalena, która ze strachem patrzyła w ciemność grobu i nagle, poprzez przesłone łez, poznała jasną postać. Jeśli ktoś otworzy się na tajemnicę Zmartwychwstania, będzie mógł stopniowo wkraczać w światłość. Ta wiara w Zmartwychwstanie nim zawładnie, nawet wówczas, gdy nie będzie mógł dotknąć ani pochwycić Zmartwychwstałego.

Czy naprawdę czujemy, czym jest Wielkanoc? To wydarzenie zapowiada nam, iż ani obawy, ani problemy i cierpienia, ani śmierć nie są argumentami przeciw życiu i jego sensowi. Poszukujemy, wierzymy i żyjemy nie po to, by umrzeć. Pełni nadziei kroczymy na czele, ponieważ „On żyje i my też żyć będziemy” (por. J 14, 19).

## ŻYCIE W DUCHU WIELKIEJ NOCY

To, co wydarzyło się z Chrystusem i poprzez Niego, wydarzyło się dla nas. Apostoł Paweł zapewnia: Zdarzenie Wielkiej Nocy odmieniło nas, którzy zostaliśmy ochrzczeni. Dane jest nam żyć jako „nowym ludziom” (por. Rz 6, 4 i n.). Z Chrystusem rozpoczęliśmy nieprzemijające życie. Wielkanoc to rzeczywistość, a nie jedynie piękna idea. Jesteśmy ludźmi „wielkanocnymi” — i w tym duchu powinniśmy żyć.

Życie w duchu Wielkiej Nocy to znaczy mieć nowy punkt widzenia. Człowiek patrzący z wysokiej góry na dolinę nie będzie lekceważył tego, co jest w dole. Będzie też wolny od dokuczliwej mgły i duszących spalin wiel-

kich miast. Ponieważ zajmuje miejsce położone wyżej, może oddychać swobodniej i ma lepszy widok. Wydarzenia dnia powszedniego nie wydają mu się już tak straszne — nie denerwują go, ponieważ widzi je w jasnym blasku słońca, a nie w bladym i mrocznym świetle.

Nie pozbawione sensu jest, że właśnie pierwsi chrześcijanie czcili Zmartwychwstałego nazywając Go słońcem, promienistym światłem. Wielkanoc bowiem oznacza świętowanie, czyli odkrycie tego światła, dopuszczenie go do ducha i umysłu. Oznacza też radość i wspólne śpiewanie Alleluja ze wszystkimi zbawionymi — z tymi żyjącymi na ziemi i z tymi, którzy nas wyprzedzili i teraz w niebie odczuwają dużo większą i głębszą radość niż my w naszej ziemskiej wędrówce.

Życ w duchu wielkanocnym to znaczy także dawać świadectwo swoim własnym postępowaniem. Wielkanoc to sprawa publiczna, nie ukrywa się jej, tak jak wielkanocnych prezentów dla dzieci. Wielkanoc potrzebuje zwia-  
stunów i świadków, którzy słowem i czynem udowodnią, że wraz ze zmartwychwstaniem dokonało się coś wielkiego, że nadszedł nowy czas. Jakże wiele ludzi wokół nas pogrąża się w depresji, ucieka w nałogi, wiąże się z różnymi sektami, ugina się pod ciężarem kłopotów i stresów, czekając na niosące pokój słowo o nowym początku, na znak miłosiernej dobroci, na jakąś pomoc. Właśnie w tym czasie każdy z nas powinien siebie spytać: Do kogo chciałby nas posłać Zmartwychwstały, by za sprawą naszej pomocy rozbłysło świa-

tło dla naszych przytłoczonych, przepelnionych strachem bliźnich?

Życie w duchu wielkanocnym oznacza również posłuszeństwo wskazówkom Zmartwychwstałego, który posłał swych uczniów do Galilei (por. Mt 28, 10). Jest to jednocześnie apel: Nie odwracajcie się od tych, którzy Boga nie znają lub znać nie chcą. Mieszkańcy Galilei w czasach biblijnych uchodzili za parweniuszy żyjących z dala od Jerozolimy i świątyni. Nie oczekiwano od nich niczego dobrego, a mimo to, tam właśnie posłani zostali ludzie głoszący zmartwychwstanie. We wrogiej atmosferze i obcym otoczeniu mieli dawać świadectwo o zmartwychwstaniu Pańskim.

Chodźmy więc i my do naszych miast i wsi, do naszego bardzo już zlaicyzowanego społeczeństwa i dajmy świadectwo. W swej pierwszej encyklice papież Jan Paweł II napisał, że wiek nasz — aż po dziś dzień — był przede wszystkim czasem wielkiej niesprawiedliwości i cierpień wyrządzanych jednym ludziom przez innych. Papież wzywa nas, byśmy położyli temu kres i przeciwdziałali, czerpiąc siłę i nadzieję z wiary.

Nikomu nie może być obojętna dramatyczna sytuacja naszego świata, sytuacja, która dla jednych jest źródłem korzyści, dla drugich zaś niezmiernych cierpień. Tam, gdzie człowiek jest pozbawiany godności i możliwości swobodnego rozwoju — czy chodzi tu o dzieci cudzoziemców, ludzi umierających w samotności, głodujących, czy też nienarodzonych w łonie matki — tam, gdzie gromadzą się niebezpieczeństwa, my, chrześcijanie, musimy przybliżyć światu rzeczywistość wielkanocną.

Nie ma to być jedynie świętowanie zwycięstwa nad śmiercią, lecz rodzaj zobowiązania z tym wydarzeniem związanego. Jest to czynna nadzieja i ostateczny ratunek.

## „PAN ZOSTAŁ WZIĘTY DO NIEBA”

„Po rozmowie z nimi Pan Jezus został wzięty do nieba i zasiadł po prawicy Boga” (Mk 16, 19). Jeśli ktoś głębiej zastanowi się nad tym końcowym zdaniem Ewangelii św. Marka, wstrzyma się od twierdzenia, że głoszenie słów o wejściu Jezusa do nieba jest w dobie wkraczania w kosmos pozbawione wszelkiego sensu. Tu jednak chodzi o coś znacznie więcej niż o informację mówiącą o przemieszczeniu. Mówiąc „niebo”, ewangelista nie ma na myśli miejsca gdzieś ponad chmurami. Starzy malarze dobrze o tym wiedzieli i na swój sposób dawali temu wyraz — zamiast nieba błękitnego, malowali niebo złote. W języku niemieckim nie możemy, niestety, rozróżnić nieba fizycznego od nieba świętych. Jest to możliwe w angielskim, który dysponuje dwoma różnymi słowami: *sky* i *heaven*.

Swego Syna, Jezusa Chrystusa, nie zabrał Stwórca do nieba astronautów. Nieba szukać powinniśmy tam, gdzie jest serce człowieka, który całkowicie oddany jest Bogu.

Bóg jest tym, który pozwolił zrodzić Jezusa Dziewicy Maryi po to, by dzielił nasze życie we wszystkim. Bóg jest tym, który Ukrzyżowanego obudził z martwych, by w człowieku zrodziła się nadzieja, żywa po

wsze czasy. Bóg jest tym, który teraz prowadzi Zmartwychwstałego do domu, do tej nieopisanej pełni bytu, z której wyszedł.

„Siedzi po prawicy Ojca” — Jezus Chrystus ma swój udział w Bożej mocy, obejmującej cały świat. Słowa te oznaczają, że Syn Boży pokonał granice tego świata. On, zwycięzca śmierci, wszedł w inny wymiar życia i działania, w wymiar obcy naszemu ograniczonemu światu. „Dlatego też Bóg Go wywyższył ponad wszystko i darował Mu imię, które jest ponad wszelkie imię, aby na jego dźwięk zgięło się każde kolano istot niebieskich i ziemskich, i podziemnych. I aby wszelki język wyznał, że »Jezus Chrystus jest Panem, ku chwale Boga Ojca«” (Flp 2, 9-11).

Wniebowstąpienie nie jest prywatnym, jednostkowym losem Jezusa. Zdarzenie to dotyczy nas wszystkich. To, co Bóg dokonał za sprawą Syna jedyne, ma konsekwencje także dla nas. „W Chrystusie — jak sformułował kardynał Ratzinger — istota ludzka, w której wszyscy mamy swój udział, wkroczyła do Boskiego wnętrza w zupełnie nowy i nie spotykany dotąd sposób”. Poprzez to zdarzenie czas tego świata zyskuje zupełnie nowe piętno. Ma teraz bowiem swój koniec czas pełen cierpień, czas, który znał jak dotąd jedynie bezcelową i nieprzerwaną cyrkulację życia i śmierci. Każdy pojedynczy los jest teraz włączony w wielki nurt skierowany ku Bogu. Ponieważ Chrystus został wskrzeszony i przyjęty do nieba, historia ma już cel, do którego zdąża. Teraz wiemy, że w naszej wędrówce przez czas nie jesteśmy pozostawieni sami

sobie. Nasze życie to nie zbiór obowiązków, nudy i odrobiny radości; nie kończy się ono anonimowym „zgaśnięciem”. Będąc u tego ostatecznego celu, Jezus jakby woła ku nam: Ufajcie! Dzięki temu, że On „jako pierworodny spośród umarłych” (Kol 1, 18) cel ten osiągnął, my nie podlegamy już prawu „jałowości”.

Tak, wraz z wniebowstąpieniem naszego Zbawiciela obchodzimy święto człowieka, któremu przeznaczone jest spełnienie. To święto powinno objąć wszystkich ludzi i dlatego wiąże się dla nas z posłaniem: „Idźcie więc i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19).

Wniebowstąpienie Chrystusa nakłada na nas ogromną odpowiedzialność. Ta dobra nowina, głosząca, iż człowiekowi dane jest odnaleźć przy Bogu swój cel, nie jest prywatną własnością kilku naprawdę pobożnych ludzi. Także głoszenie tej nowiny całemu światu nie może być jedynie specjalnym zajęciem poruszonych nią *outsiderów*. My wszyscy powinniśmy nieść dalej tę prawdę wiary, naukę głoszącą, iż ludzki byt zdobył nową, ostateczną perspektywę, że nic pod słońcem nie dzieje się już na próżno.

Dotyczy to przede wszystkim społeczeństwa zlaicyzowanego, w którym grasuje duch beznadziei i zniechęcenia. Do tego społeczeństwa dotrzeć powinna nowina o ostatecznym wyzwoleniu — szczególnie zaś tam, gdzie ludzie nastawili się na „zstąpienie do piekieł”. Czyż naszym losem jest zastygnąć w nicości i pograć się w bezdennej odchłani? Tak nie jest. Wniebowstąpienie pozwoliło nam dostrzec



pełnię bytu. Nie możemy już teraz uważać życia za oszukańczą obietnicę. Powinni o tym wiedzieć wszyscy, którzy uginają się pod ciężarem stawianych im wymagań. Powinni pamiętać, iż przed Bogiem liczą się nie tylko nasze osiągnięcia, ponieważ stoi On także po stronie słabych, tych, którzy w swej słabości nie sprawdzili się i w oczach świata zupełnie nic nie znaczą. Opuszczeni i zepchnięci na margines powinni wiedzieć, że nie muszą tkwić w przejmującym chłodzie samotności, ponieważ są powołani do wspólnoty, która obejmuje nas wszystkich. Do świata pełnego brutalności i strachu skierowana jest prawda głosząca, iż Chrystus przerwał diabelski krąg przemocy, że pokój i miłość zadecydują ostatecznie o warunkach życia ludzkiego. Musimy tylko pójść drogą wiary, nadziei i miłości. Do nas wszystkich w końcu — obciążonych winami i naznaczonych śmiercią — odnosi się nowina o wniebowstąpieniu Chrystusa, nowina, która niesie pokój i radość. Stojąc nad „odchłanią”, przed którą wszystkie ludzkie słowa zawodzą, pamiętajmy o przyrzeczeniu danym przez Boga-Człowieka, którego los się dopełnił — „Przyjdę znowu i zabiorę was do siebie, abyście i wy byli tam, gdzie Ja jestem” (J 14, 3).

Wniebowstąpienie Chrystusa ukazuje nam nowy obraz świata i człowieka — obraz niezniszczalnej nadziei. Jezus Chrystus, nasz brat i Pan, poszedł pierwszy, by przygotować nam mieszkanie. Przeznaczeni do życia na ziemi, możemy radować się niebem. Horyzont stał się jasny i szeroki. Życie ma sens. Droga prowadzi do celu.

## W PARTNERSTWIE Z DUCHEM BOŻYM

Możność doświadczenia Bożej bliskości i miłości nie miała ustać wraz z dniem, w którym Jezus zakończył swoje ziemskie życie i wstąpił do chwały Ojca. Już wcześniej, zanim jeszcze Jego towarzysze stracili Go z oczu, przygotował sobie w swoim Kościele nowe ciało. Mógł być więc nadal obecny w ten sposób, by Jego obecność odbierana była w sposób zmysłowy. Jednak Kościół, którego fundament stanowiła Wielkanoc, musiał zostać dopiero zbudowany. Elementy były już gotowe: Nowina została ogłoszona, apostołowie wybrani, sakramentalne znaki zbawcze ustalone, najważniejsze struktury organizacyjne gminy określone. A jednak na wszystkim jakby tkwiła pieczęć, którą należało złamać. Nikt nie głosił kazań, nie chrzczył, nie odpuszczał grzechów. Dopiero poprzez udzielenie Ducha w dzień Zielonych Świątków widoczny stał się dla świata „prawdziwy Izrael”. Dlatego też Zielone Świątki uznawane są za dzień narodzin Kościoła, który kierując się siłą Ducha, prowadzi od tego czasu ludzkość i świat przez historię. Pewne wypowiedziane dawno słowa określają Kościół jako „arkę nowego stworzenia”, która nas niesie przez wszystkie czasy ku spełnieniu. Mimo iż Kościół wszczepiony jest w historię i jest nią obciążony, to w zasadzie jego rozwój uwarunkowany jest „od góry”. Jest bowiem owocem Ducha Bożego, Jego tworem, a nie dziełem człowieka. Duch Święty to dla Kościoła zasada kierująca jego życiem i oddechem.

Duch Boży nie działa automatycznie, nie jesteśmy dla Niego bezwolnymi przedmiotami. Wzywa nas do partnerstwa, do współdziałania. Tam, gdzie tego partnerstwa nie ma lub też przyjmuje ono tylko formę szczątkową, gdzie chrześcijanie cierpią głód duchowy, gdzie ich duch jest ubogi — tam nie może być mowy ani o szczęściu Kościoła jako całości, ani o szczęściu pojedynczego wierzącego człowieka.

Przyczyna naszej niezgody na zielonoświątkowy obraz Kościoła, na wymagania Jezusa i oczekiwania świata tkwi w tym, że skupiliśmy się jedynie na własnych sprawach. Jakiś czas temu pewien biskup powtórzył mi słowa starego, doświadczonego przez los człowieka, który miał odpowiedzieć na pytanie: Dlaczego w naszych czasach tak trudno jest zaistnieć dziełom Bożym? Człowiek ten powiedział: — Jest tak, ponieważ kierowani własną dumą, nie dopuszczamy w ogóle do tego. Biskup zaś dodał: — Dlaczego nie wzbudza naszego zapału to, co robimy? Myślę, że jesteśmy po prostu zbyt zajęci sobą, kierujemy się tylko swoimi zamiarami, a Duchowi Świętemu dajemy zbyt mało miejsca w nas samych i w naszych gminach.

Udzielając Duchowi Bożemu miejsca, nie odwracamy się od świata i nie zamykamy się w swym wnętrzu. Jeśli dopuścimy tego Ducha do głosu, nie przyjmujemy w przypadku palących problemów postawy religijnych fanatyków ani też postawy typu „beze mnie”. Zanim Jezus udzielił uczniom swego ducha, powiedział jednoznacznie: „Jak Ojciec Mnie posłał, tak i Ja was posyłam” (J 20, 21). Akt wysłania

Ducha i posłania w świat uczniów to jedno. Szczęśliwie pogład ten zwyciężył w licznych grupach charyzmatycznego ruchu odnowy, którego członkowie zrozumieli, iż Zielone Świątki nie pozwalają nam żyć w stary sposób. Duch Święty to nie zjawą, lecz Boża potęga, która odnawia oblicze ziemi. Zielone Świątki powinny być dla wszystkich zachętą do opowiedzenia się na nowo za wiarą i do działania przepełnionego Duchem.

## DOŚWIADCZYĆ JEGO BLISKOŚCI

Niedawno można było przeczytać w prasie o pewnym człowieku, który wyrzucił na śmietnik zakurzony, stary obraz. Ktoś inny odnalazł obraz i pokazał go fachowcom. Wówczas okazało się, że jest to dzieło o wielkiej wartości, autorstwa jednego ze starych mistrzów.

Czyż los sakramentów nie przypomina losu tego dzieła sztuki? Także „życie sakramentalne” wielu ochrzczonych ludzi wydaje się być wyblakłe. W jednej z niemieckich metropolii wystąpiło z Kościoła w ciągu roku o wiele więcej członków, niż zostało ochrzczonych. Wszędzie obniżyła się liczba uczestników niedzielnej Eucharystii. Coraz więcej młodych par zadawała się ślubem cywilnym. Drogę do sakramentu pokuty znajduje już bardzo niewiele wiernych.

Przyczyny tego mogą być wielowarstwowe. Dla wielu jest Kościół jedynie organizacją, wielkim aparatem administracyjnym albo zakładem świadczącym usługi w sprawach socjalnych. Widzą oni w Kościele tylko pewien

rodzaj urzędu z obowiązującymi prawami i przepisami. Inni znów, chcąc uciec przed „zmasowanym naporem” bytu, zamykają się w wolnym czasie wyłącznie w sferze prywatności. W kościele jest dla nich zbyt głośno. Są przekonani, że mogą wytrwać w swym stosunku do Boga bez widzialnych znaków.

Z drugiej zaś strony obserwujemy wielki głód religijnego doświadczenia. Rośnie pragnienie stworzenia nowej wspólnoty, w której „przyjaciele Boży” mogliby wspólnie wyznawać swoją wiarę. Ta wielka siła przyciągania różnorodnych grup w Kościele pokazuje, że istnieje paląca potrzeba osobistego doświadczenia wiary. „Wierzący dnia jutrzejszego — jak stwierdził raz Karl Rahner — będzie tym, który czegoś doświadczył albo nie będzie go wcale”.

Na pierwszy rzut oka prawdziwe wydaje się być przysłowie: „Do pracowitych świat należy”. Coraz bardziej uświadamiamy sobie jednak, że istnieje też druga strona takiego poglądu. Kto nie spełnia oczekiwań, musi drżeć o swoją przyszłość. Udręczonemu człowiekowi, który musi coraz więcej i szybciej pracować, cała radość życia przecieka przez palce. Tam bowiem, gdzie liczy się tylko wydajność i osiągnięcia, stoper i komputer, sam człowiek z całą swoją niepowtarzalną wartością jest po prostu nieważny.

Co jednak sprawia, że nasze życie ma taką wartość? Z pewnością nie rzeczy materialne. Naprawdę ważny jest dar, który uzyskaliśmy bez naszego własnego udziału: miłość i przyjaźń innych, serdeczność i wierność ludzi. Poprzez to właśnie nasze życie staje się bogatsze.

Do jego spełnienia dochodzi jednak dopiero wtedy, gdy zostaną przekroczone granice ludzkiej miłości, gdy pokona się jej niedoskonałość i człowiek zostanie objęty miłością Bożą. Miłość ta stała się widzialna w Jezusie Chrystusie, a On sam jest uosobieniem prawdziwego życia, głośnym Bożym „tak” skierowanym ku nam. Wszystkim, którzy głoszą Jego imię i w Niego wierzą, ofiaruje nowe życie. Tak, jak miłość ludzką możemy dawać i przyjmować jedynie bez przymusu, tak też miłość Boża jest niewymuszonym darem Jego Łaski. Możemy ją odebrać jedynie z własnej woli.

Tę radosną nowinę o nieprzemijającym życiu Jezus przekazuje nam nie tylko poprzez swoje „życiodajne” słowa, lecz także poprzez znaki. Słowa psalmisty mówią: *Skosztujcie i zobaczcie, jak dobry jest Jahwe* (Ps 34, 9). Tak jak ludzka miłość wyraża się w sposób cielesny, tak i miłość Boga ucieleśniła się w Chrystusie. W różnorodnych znakach ucieleśniło się Jego „tak”, w widoczny sposób skierowane ku człowiekowi. W końcu we wszystkim prawie, co dla nas czyni, w krzyżu i w zmartwychwstaniu, „uruchomił” sakramentalne źródła. W symbolach naszego ziemskiego życia widzimy obecność Jego miłości — w chlebie i winie, w wodzie, oliwie i akcie nakładania rąk.

Główne decyzje dotyczące naszego życia dokonują się w naszym najgłębszym wnętrzu. Rozpięte są pomiędzy dobrem i złem — gdy idzie o nasz stosunek do innych ludzi, pomiędzy „tak” i „nie” — gdy chodzi o nasz stosunek do Boga. Widziani jesteśmy z zewnątrz — nasze oczy i twarz mówią, co dzieje się we-

wnętrz nas. Bóg, „Duch czysty”, chce mieć do czynienia z człowiekiem z tej ziemi i dlatego wybudował dla nas pomost w osobie Jezusa Chrystusa.

Czyż nie powinniśmy się radować, że Chrystus powierzył swojemu Kościołowi te zbawcze znaki i mamy dostęp do tych życiodajnych źródeł? Zostaliśmy ochrzczeni i zyskaliśmy — „z wody i Ducha Świętego” — nasz udział w wiecznym, nowym życiu. Przed ołtarzem wielu z nas powiedziało swoje „tak” przed nową drogą życia. Otrzymujemy sakrament pokuty i doświadczamy dzięki niemu odpuszczenia. Bierzymy udział w święcie eucharystycznym, a niektórzy z nas byli już zapewne świadkami namaszczenia chorych. Papież Leon Wielki ubrał w słowa to, co my sami być może odczuwamy: „To, co widzialne było u naszego Zbawiciela, przeszło do sakramentów”. Chciał przez to powiedzieć, że tu właśnie spotykamy się z naszym Panem. Tu wkłada On na nas swe ręce. Tu przekonujemy się, iż nie musimy naszą drogą iść samotnie. Chrystus idzie z nami. W słowie i sakramencie jest obecny na wyżynach i na dnie naszego życia.

Jeśli kogoś prawdziwie dotknął Chrystus, ten odczuwa coraz bardziej, iż jest nowym człowiekiem. Sakramenty otrzymuje jednak nie tylko dla prywatnego zbudowania i odnowy. Otrzymujemy je wraz z zadaniem, które dotyczy naszych współbraci i świata. Ponieważ w widoczny sposób zostaliśmy obdarowani, w taki sam sposób powinniśmy obdarowywać innych. Jako partnerzy Boga musimy kształtować świat, by był przyjazny człowie-

kowi. „Idźcie” — słyszymy na koniec eucharystycznego święta. Znaczy to jednak: Idźcie i czyńcie to, co pokazane zostało w sakramentach. Jesteście teraz ciałem Chrystusa w świecie. Jesteście narzędziem Bożej miłości i Bożego pokoju. Pozwólcie doświadczyć innym, iż nasze życie nie zostało nam dane jedynie w „celach konsumpcyjnych”. Byt czerpie sens z miłości do Boga i naszych bliźnich.

## CHLEB EUCHARYSTYCZNY

Ateistyczna propaganda skonstruowała następujący obraz: Ksiądz w stroju mszalnym trzyma w ręce złoty kielich z eucharystycznymi darami. Przed nim cisną się wygłodniali, biednie ubrani ludzie — mężczyźni, kobiety i dzieci. Ksiądz podaje im Hostię. Pod tym obrazkiem możemy przeczytać pytanie: „Czy to naprawdę może nasycić?”.

My, którzy regularnie bierzemy udział w eucharystycznym święcie, chcemy przeciw tym urągliwym słowom zdecydowanie zaprotestować. Musimy je jednak potraktować także jako wezwanie do opamiętania i odpowiedzialności.

Czy chleb eucharystyczny naprawdę syci nas, którzy go przyjmujemy i czcimy? Czy syci tych, którzy muszą na naszej Ziemi cierpieć głód i niedostatek? Czy może nasycić wielu naszych współczesnych, którzy dość już mają ideologii i haseł i pilnie poszukują właściwego sensu życia i trwałego fundamentu dla swego bytu?



W czasie Ostatniej Wieczerzy, w kręgu swych przyjaciół, wziął Jezus chleb, pobłogosławił, przełamał i dał im mówiąc: „Bierzcie, to jest ciało moje” (Mk 14, 22). Potem wziął kielich i rzekł: „To jest moja Krew Przymierza, która za wielu będzie wylana” (Mk 14, 24). Stoimy tu w obliczu niosącej pociechę Bożej tajemnicy, która objawiła się nam w Jezusie. „Raz nam ofiarowany, zabity na krzyżu, przełany, przekłuty nie cofnie nigdy już swego daru, siebie. Żyje też jako Zmartwychwstały, ciągle ofiarowując siebie i swoją krew” — pisze Urs von Balthasar.

W osobie Jezusa z Nazaretu Boże serce otworzyło się dla nas w całej pełni swej miłości. Bóg stoi przy nas, ludziach i ma wobec nas dobre zamiary. Zwykły, powszedni chleb jest znakiem tego, że nie chodzi Mu jedynie o okazjonalne świętowanie. Chce być naszym chlebem powszednim, byśmy mogli przeżyć powszedni dzień i byśmy nie zginęli z głodu, mimo pełnych garnków i całego naszego dobrobytu. Wie On, że cierpimy głód — głód szczęścia i poczucia bezpieczeństwa, czyjejs bliskości i miłości, życia i spełnienia. Pod postacią naszego chleba chce ten głód zaspokoić. Poprzez swą eucharystyczną obecność chce wyrwać nas z bezsensu i poprowadzić ku prawdziwemu życiu.

„Czy to naprawdę syci?” — te drwiące słowa widniały na jednym z plakatów. Tak, syci i to w zupełnie nieoczekiwanym sensie. Zaspokaja największy głód, jaki nęka człowieka. Bez tego chleba nie możemy ani sensownie żyć, ani godnie umrzeć. Jest on darem najbar-

dziej nam potrzebnym, niosącym pociechę i nadzieję. Syci nas tak, że cały głód znika.

Nam, którzy jesteśmy już syci, nie wolno pozostać przy eucharystycznym stole. Musimy wyruszyć w drogę, zwrócić się ku światu. W tym właśnie leży sens eucharystycznej procesji, która nie jest ani religijną paradą, ani demonstracją siły, świadczącą o naszej obecności w świecie. Chodzi o wyznanie wiary — wyznanie, że Chrystus jest tutaj właśnie dla nas i że my też powinniśmy być dla innych. Procesja jest także znakiem, że wychodzimy z sakramentalnego „odosobnienia” Kościoła, by przystąpić do codziennej służby ludziom i światu.

Pojedynczy człowiek winien całą radość i siłę uzyskaną z eucharystycznego chleba wnosić do domu, miejsca pracy, życia sąsiedzkiego i publicznego. Nie możemy uczestniczyć w Eucharystii, a jednocześnie zadowalać się tylko własnym powodzeniem, podczas gdy „za bramami” czekają na pomoc samotni, starzy i odrzuceni. Eucharystyczna uczta daje nam siłę, jednocześnie zaś nakłada zobowiązania. Pragnienie sprawiedliwości, miłości i pokoju ma stać się naszym prawdziwym głodem. W przeciwnym bowiem razie wspólnota Wieczery Pańskiej będzie dla świata niewiarygodna, a nawet — jak mówi św. Paweł — może zaprowadzić nas przed sąd.

Nasze serca muszą być niespokojne. Nasze myśli kierować się muszą ku tym niezliczonym, którzy cierpią nędzę, dla których „chleb powszedni” nie jest czymś oczywistym, którzy

w chorobie i słabości wyciągają ręce po pomoc. Czy w naszym świętowaniu naprawdę o tym myślimy?

## MIŁOŚĆ BEZ GRANIC

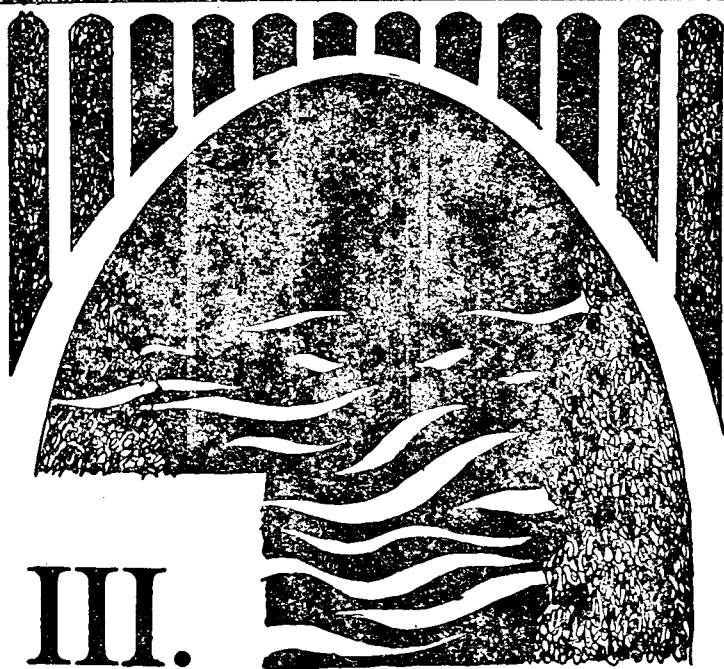
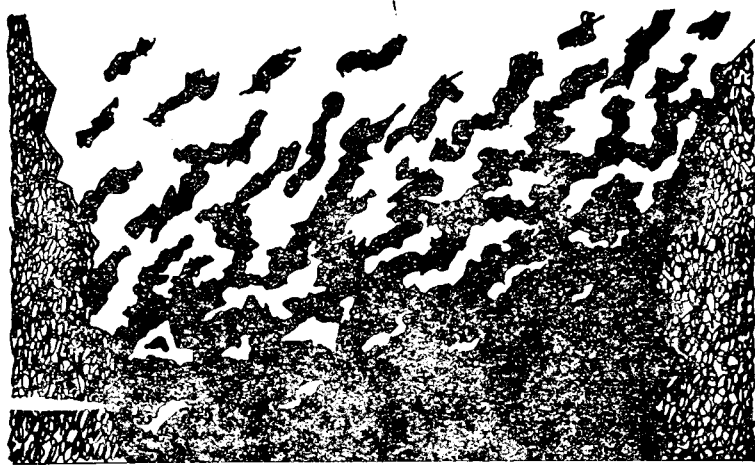
Rosyjski pisarz, Fiodor Dostojewski, skazany został w 1849 r. na śmierć z powodu swej działalności politycznej. Wstąpił na szafot, otoczony żadnym sensacji tłumem. W ostatniej chwili nadszedł od cara akt ułaskawienia. Przyjaciele pytali później pisarza, co czuł w obliczu nadchodzącej śmierci? Odparł, że ogarnęła go taka fala litości i współczucia, że pomyślał tylko: — Ludzie! Nie jesteście w stanie zrobić niczego, co kazałoby mi przestać was kochać.

Przed dwoma tysiącami lat inny Człowiek szedł przez naszą Ziemię. Szedł drogami wszystkich ludzkich dzieci. Wszędzie, gdzie się zatrzymał, głosił miłość i dobro. Kilka zaledwie godzin zostało do Jego śmierci, do owej chwili, w której został opuszczony przez wszystkich. Wtedy, zanim jeszcze przybito do krzyża Jego ręce, wziął chleb i powiedział: „To jest ciało moje, które za was będzie wydane” (Łk 22, 19). Mimo iż tak bardzo się bał oczekującej Go męki, miłość zwyciężyła strach. „Ludzie! Nie jesteście w stanie zrobić niczego, co kazałoby mi przestać was kochać” — to także Jego wyznanie. Ostatnia Wieczerza była Jego testamentem, testamentem nieustającej miłości. „Umilowawszy swoich na świecie, do końca ich umilował” (J 13, 1) — czytamy w Ewangelii św. Jana. Trzeba przyznać rację egzege-

tom Pisma Świętego, gdy mówią, że te słowa Jezusa — wskazujące przede wszystkim na Jego cierpienie — charakteryzują najważniejszy sakrament ołtarza. Nigdzie bowiem indziej Chrystusowa ofiara krzyża nie jest bardziej obecna niż właśnie w tej bezcennej tajemnicy wiary.

Wszędzie i zawsze, gdy na ołtarzu Kościoła leży eucharystyczny chleb — obojętnie, czy w świecie wolnym czy zniewolonym — wszędzie poświadcza on obecność owej świętości, którą uczynił dla nas dostępną Zbawiciel, składając na Golgocie dar z własnego życia. Czcząc Najświętszy Sakrament i klęcząc przed nim w modlitwie, doświadczamy nie tylko zjednoczenia w samym patrzeniu i czuwaniu. Istnieje też zespolenie głębsze, zespolenie z Bogiem zmysłowego i żywego bytu. Możemy dosłownie „skosztować” jak dobry jest Pan. Nie jest przypadkiem, iż Bóg-Człowiek wybrał chleb i wino na postrzegalne zmysłowo znaki swej czynnej miłości. Nie ma to nic wspólnego z banalnym uprzedmiotowieniem religijnego życia. Znaki mają swe źródło w bosko-ludzkim charakterze zbawienia. Tak jak niegdyś na tym świecie Chrystus żył, cierpiał i umarł jako ucieleśnione słowo Ojca, tak jak powstał z grobu w przemienionej cielesności, tak też chce i dzisiaj pozostawać z nami we wspólności, w sposób prawdziwie ludzki — widzialny i doświadczalny. Dlatego też wybrał chleb jako symbol owego pokarmu, który zaspokaja nasze najgłębsze tęsknoty i naturalny głód naszego bytu. W chlebie tym ofiarowana nam zostaje pełnia błogosławieństwa Bożej świętości. Doskonali i mniej doskonali powinni, jak pisze

Franz von Sales, częściej przystępować do komunii. Dodaje: „Pierwsi, ponieważ popełniliby błąd nie czerpiąc ze źródła wszelkiej doskonałości. Drudzy, by zyskać doskonałość. Silni powinni przystępować do stołu Pańskiego, by nie stracić siły, słabi — by ją zyskać”.



III.

**GDY CZŁOWIEK  
CZŁOWIEKOWI  
PODAJE RĘKĘ**

## GDY CZŁOWIEK CZŁOWIEKOWI PODA RĘKĘ

Kiedys przeczytałem historyjkę o pewnym człowieku, który cieszył się sławą mędrca. Idąc przez kraj napotkał chłopą, który sadził drzewko świętojańskie. Wędrowiec zatrzymał się przy nim i spytał: — Kiedy to drzewko zaowocuje? Zapytany odpowiedział: — Może za 70 lat. I wtedy ten niemądry „mędrzec” zawołał: — Głupcze! Czy myślisz, że za 70 lat będziesz jeszcze żył i skosztujesz owoców tego drzewa? Zasadź lepiej coś, co wcześniej przyniesie owoce, byś mógł radować się zbiorami. Chłop nie przerwał swojej pracy i po dłuższej chwili odpowiedział: — Gdy przyszedłem na świat, zastałem już tu świętojańskie drzewa, które dały mi pożywienie. Było tak, gdy byłem dzieckiem, młodzieńcem, w końcu mężczyzną. Nie ja zasadziłem te drzewa, zrobili to moi ojcowie. Ponieważ korzystałem z owoców nie swojej pracy, chcę także zasadzić drzewko ku radości moich dzieci i wnuków. Zakończył zaś słowami: My, ludzie, możemy przetrwać jedynie wtedy, gdy jeden poda rękę drugiemu.

Udział w naszym rozwoju miały wszystkie minione generacje — nasi rodzice i przyjaciele, wszyscy ludzie, których łączą z nami jakieś relacje. W dużej mierze żyjemy dzięki temu, co zasiali i zasadzili inni, żyjemy dzięki

ich myślom i modlitwom. Mamy wszelkie podstawy, by naszym przodkom dziękować za wszystko, co dobre, co odziedziczyliśmy dzięki ich staraniom, co otrzymaliśmy w darze.

Jednak sens tej przypowieści sięga głębiej. Powinniśmy także patrzeć na ofiarodawcę wszystkich rzeczy, na Tego, który trzyma w swych rękach historię dnia wczorajszego, dzisiejszego i jutrzejszego, i do którego także odnoszą się słowa owego człowieka sadzącego drzewko. Słowa, iż człowiek może przetrwać jedynie wtedy, gdy jeden poda rękę drugiemu.

Sam Bóg kieruje historią. Podawał On często rękę zarówno poszczególnym ludziom, jak i całym generacjom. Z historii, nie będącej wcale samowolnym biegiem lat i stuleci, uczynił historię zbawienia. Także Stary Testament mówi, że Jahwe nie pozostawił swego narodu ślepemu losowi, lecz że walczył o Izrael, by wyzwolić go z niegodnej niewoli (por. Wj 14, 13 i n.). W Ewangelii poznajemy historię wskrzeszenia córki Jaira. Pośród kruchości tego świata dał jej Jezus nowe życie, za sprawą swego wszechmocnego i miłosiernego słowa. Wielu świadków uważało Go za szarlatana i szydziło z Niego. Pan jednak przywrócił życie zmarłej dziewczynce (por. Mk 5, 21-43). Dzisiaj znów śmieją się z Tego, który zwycięża śmierć i daje nowe życie. Pytają z niechęcią: Czyż potrzebujemy Boga w naszym zlaicyzowanym świecie? Świętować możemy także i bez Niego, i bez Niego posuwamy się do przodu. Po co mamy budować sobie dodatkowo religijny fundament? A jednak tylko Jezus Chrystus gwarantuje naszemu życiu sens, szacunek, siłę i przyszłość; Chrystus, który „wdarł się” w na-



szą ludzką historię. On jest wyciągniętą ku nam Bożą ręką. On nas prowadzi i nawet w beznadziejnym położeniu pozwala nam uwierzyć, że nie kierujemy się ku zgubie. Dzięki Niemu dojrzeliliśmy fałsz w twierdzeniach wielu filozofów i pisarzy, iż z nicości przychodzimy i do nicości zmierzamy. Bóg pragnie, by historia — tak, jak ją przeżywamy — była historią zbawienia, pokoju, przyszłości i spełnienia.

Weźmy podaną nam przez Boga rękę. Dajmy Mu nasze słowo, nasze „tak”, i bądźmy gotowi spełnić Jego oczekiwania.

W pewnym wierszu Martina Gutla czytamy:

*On jeden jest absolutnie wierny,  
człowiek może stać się niewiernym.  
On jeden dotrzymuje słowa,  
człowieka można przekupić.  
On jeden trwa przez całą wieczność,  
człowiek może się załamać.  
On jeden znosi wszystko,  
człowiek może być niecierpliwy.  
Pamiętając o wszystkim,  
czego doświadczyłem,  
ufam człowiekowi.  
Jest człowiekiem.  
Wierząc tak, jak wierzę,  
ufam Bogu:  
Jest Bogiem!*

Aby kształtować naszą przyszłość w duchu odpowiedzialności i wolności, musimy zdobyć się na wierność. Sprostać temu będziemy mogli jedynie wtedy, gdy sami włączymy się w wierność Temu, który przybliżył się do nas w Jezusie Chrystusie.

## MILUJĘ KOŚCIÓŁ

Bezsporną prawdą jest, iż Jezus znowu jest potrzebny. Wielu, których zawiódł haszysz i LSD, widzi w Nim nowy rodzaj ucieczki i nowego, budzącego zachwyty idola. Inni oceniają Jezusa głównie ze społeczno-politycznego punktu widzenia. Podobają się im jako bojownik-pionier, który z upodobaniem żyje w „złym społeczeństwie” i bezwzględnie występuje przeciwko władzy.

Dla jednych jest Jezus symbolem solidarności, dla innych uosobieniem nadprzyrodzonej, dobrej siły. Inni jeszcze obwołują Go przyjacielem, który wiernie stoi u ich boku i wskazuje kierunek życiowej drogi.

Jeśli będziemy doszukiwać się w takich postawach silnego nawrotu do religijności, to nasza naiwna radość szybko zgaśnie. Jezus jest bowiem nierzadko przedstawiany także jako wróg Kościoła i coraz częściej spotkać możemy się z poglądem, który pewien młodzieniec wyraził w sposób następujący: — Odnalazłem Chrystusa. Bez Kościoła mogę się obejść.

Co możemy na to odpowiedzieć? Nie wolno nam ignorować tego przewrotnego hasła, które głosi: Jezus tak, Kościół nie. Jak wygląda zależność pomiędzy Jezusem Chrystusem a Kościołem? Czy Jezus jest nierozzerwalnie z nim złączony, czy kroczy obok niego? Co łączy, a co dzieli Jezusa i Kościół?

Jedno jest pewne — bez Kościoła Jezus już dawno zostałby zapomniany. To właśnie Kościół utrzymał Jego żywą obecność wśród ludzi. Mimo wszelkich swych słabości i grze-

chów. Henri de Lubac rozmyślał: „Czy ci, którzy akceptują Jezusa, negując jednocześnie Kościół, wiedzą, że Jezusa zawdzięczają ostatecznie Kościołowi?... Ileż to lotnego piasku przysypałoby — jeśli już nie Jego imię i pamięć o Nim — to przecież Jego żywy wpływ, Ewangelię i wiarę w Jego Boską osobę? Tak właśnie by się stało bez widocznej kontynuacji, o którą zadbał Jego Kościół”.

Oczywiście, wielu ludziom odpowiadałoby, gdyby mogli doświadczyć obecności Jezusa w religijnym, osobistym przeżyciu. Chrystus jednak poddał się prawu ucieleśnienia, inkarnacji. „W rzeczywistości Jezus pragnął — jak pisał niegdysiejszy dogmatyk z Tybingi, Karl Adam — darować się człowiekowi poprzez człowieka, czyli na drodze wspólnoty, a nie rozdrobnienia czy rozproszenia. Chciał pobudzić do życia całą »budowlę«, której części składowe stanowiłiby uświęceni ludzie, a nie stworzyć nie kończący się szereg błogosławionych. Chciał stworzyć królestwo Boże”. Współczesny zaś dogmatyk z Tybingi, Walter Kasper, pisze: „Chrześcijaństwo bez Kościoła byłoby utopią i abstrakcją. Wiara chrześcijańska nie może, podobnie jak wszelkie przekonania ludzkie, przetrwać długo bez pewnego zinstytucjonalizowania. W ramach instytucji określone sposoby zachowania stają się zwyczajem i mogą przetrwać w czasie. Bez Kościoła imię i dzieło Chrystusa oraz wspólnota wiary zniknęłyby pod grubą warstwą piasku. Nie jest to slogan, lecz prawda aktualna od samego początku istnienia Kościoła. Jezus i Kościół nierozzerwalnie należą do siebie”.

Nigdy nie dotrzemy do „całego” Chrystusa, pomijając Kościół, czy też go odrzucając. To właśnie Kościół — ta żywa gmina Pańska, pozwala nam od czasów apostołskich doświadczać, kim jest Jezus i jakie ma On znaczenie dla naszego ludzkiego bytu.

Dlatego też możemy powiedzieć: Miłuję ten Kościół, ponieważ obdarowuje on nas poprzez Ewangelię setkami informacji. Kościół głosi słowo, które jest źródłem naszego życia, na którym możemy budować. Nie upowszechnia żadnej stworzonej przez siebie nauki o zbawieniu, lecz głosi wyraźne Boże „tak” skierowane ku człowiekowi. Głosi, że jesteśmy przyjęci przez Ojca.

Miłuję Kościół, ponieważ udziela nam wiadomych znaków zapowiedzianego przez Chrystusa zbawienia. Są nimi sakramenty, które włączają nas w historię zbawienia. Tu właśnie mamy możliwość przyjąć w sposób ucieleśniony wieczną Bożą miłość. Miłuję ten Kościół, ponieważ staje się nam ojczyzną, chroniąc przed zatraceniem i bezdomnością. Daje nam pociechę, pozwala zyskać orientację. Tu doświadczamy też prawdziwego poczucia bezpieczeństwa i doskonałej radości. Miłuję ten Kościół, ponieważ wskazując nam Chrystusa, wskazuje trwały sens naszej egzystencji. Jest to jego pierwsze i najważniejsze zadanie. W pewnej audycji radiowej jakiś młody człowiek nie mógł darować Kościołowi, że ten oferuje często jedynie imprezy, dyskusje i wybieczki. Młody człowiek oczekiwałby zaś przybliżenia mu raczej sensu życia i wskazania jego celu. Miał rację. Przekonujemy się dzisiaj w dramatyczny sposób, jak nieszczęśli-

we i niezdolne do życia jest społeczeństwo, które nie znajduje odpowiedzi na pytanie o sens. Takiego zdania był również Albert Einstein.

Miuję ten Kościół także dlatego, że wyrywa nas z egoizmu, z myślenia ukierunkowanego na cel oraz przekazuje innym wezwanie Jezusa: Zatraćcie swe życie w miłości i — jako ludzie, którzy przyjęli chrzest i komunię — dajcie miejsce w waszym świecie Duchowi Świętemu. Pozwólcie Mu działać. Miuję ten Kościół, ponieważ głosi on w imieniu ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Pana nadzieję, która jest silniejsza niż śmierć, ponieważ dowodzi nam, że jesteśmy odwołani z królestwa ciemności i powołani do życia wiecznego.

Przyczyną mojej miłości do Kościoła nie jest więc jego ewentualna atrakcyjność czy doskonałość. Miuję go, ponieważ zachowuje i przekazuje dalej to, co zasadnicze — miłość, odpuszczenie i obietnicę naszego Pana.

Z tego też względu oczekuję jednak, że poddając się procesowi odnowy, Kościół odnajdzie znów właściwą drogę do swych własnych zadań. Nie znaczy to wcale, że powinniśmy porzucić nasze zaangażowanie w sprawy społeczne i w nauczanie, czego tak obawia się wielu ludzi. Szukajmy naszych szans raczej tam, gdzie wyraźny jest ich związek z obietnicą. Musimy ufać bardziej sile i mądrości wiary; musimy bardziej świadomie i z pokorą czerpać ze źródeł sakramentalnych; wyraźniej włączyć naszą służbę światu w służbę zbawieniu; kierować się bardziej Biblią niż taktyką; szukać ufności w naszej

chrześcijańskiej wierze, a nie w politycznych manewrach. Krótko mówiąc — odważmy się postawić na Boga i na dary ofiarowane nam za sprawą Jego miłości. Zawierzmy Mu nasze życie. Apostoł Piotr ująłby to w jednym zdaniu: Chodzi o to, byśmy „pozostawali w Chrystusie” (por. np. 2 Kor 5, 17).

## OJCZYZNA SERCA

Wielki kardynał Newman powiedział: „Możemy być pełni smutku z powodu zewnętrznych walk i wewnętrznych obaw; możemy być wystawieni na niechęć, zarzuty i zniewagę ludzi; możemy być wyczerpani z powodu nieprzydatności, chłodu i beznadziejności świata — potrzeba nam czegoś, co byłoby bliskie. Co jest naszą ucieczką? Nie ciało i krew, i też nie życzliwe oblicze. Schronieniem będzie nasza święta ojczyzna, którą Bóg darował nam w swoim Kościele; święte miasto, w którym On wziął sobie mieszkanie”. W tej świętej ojczyźnie, tym wiecznym mieście spełnia się błogosławieństwo, którym apostoł Piotr kończy drugi *List do Koryntian*. Nazywa on Kościół miejscem, w którym doświadczyć możemy miłości naszego Bożego Ojca, Łaski Pana Jezusa i jedności Ducha Świętego (por. 2 Kor 13, 13).

Nie cierpimy tu z powodu braku ojczyzny, ponieważ mamy Boga-Ojca, który nas kocha. Także niechrześcijanie określali czasem tym mianem swoich bogów, u nich jednak nie był to wyraz zaufania. Uważali, że Bóg jest podobny do ojca-człowieka: miły, jeśli w do-

brym humorze, często jednak egoista i tyran, nieobliczalny i groźny. My jednak, mimo całego bezładu i zagadek, wśród których żyjemy, możemy być pewni, iż Boże ojcostwo zna jedynie prawdziwą dobroć, a Bóg nie prowadzi ani z nami, ani ze światem straszliwej gry. On sam dał nam wgląd w swoją istotę, co dokonało się poprzez Jego Syna, Jezusa Chrystusa, którego Łaska stała się naszym udziałem. W Nim dokonało się to, co niesie wolność i pocieszenie: Bóg stał się naszym bratem. Syn Boży wydał się na nasz świat, wszedł w ludzki los i historię. Jeśli tajemnica Boża wydaje się komuś straszliwą zagadką, niech spojrzy na ukrzyżowanego i zmartwychwstałego Jezusa, w którym na zawsze zajaśniała dla człowieka Boża obecność, dobroć i przyjaźń. Jeśli Bóg wydaje się komuś zbyt daleki, niech pójdzie do Chrystusa i powie Mu *Abba-Ojciec*.

Po swoim wniebowstąpieniu Jezus nie osierocił nas, lecz wysłał nam swego Bożego Ducha. Wspólnota tego Ducha jednoczy nas w Kościele, czyni z nas wielką rodzinę i tym, którzy do niej wstąpili, daje poczucie bezpieczeństwa i własne miejsce. Przekazuje nam ona sens naszych dróg oraz napełnia życiową odwagą i nadzieją. Przypomina o naszym pochodzeniu i wskazuje cel naszego bytu — Boga, który jest miłością.

Nie, Boga nie można w żadnym wypadku przyrównać do tyrauna, „niewzruszonego animatora” czy też anonimowego Najwyższego, który tylko patrzy na nas z góry. Bóg — to Ojciec, Syn i Duch Święty. Trójjedność! Bóg zaś to Bóg-z-nami, Bóg pośród ludzi, któ-

ry przychodzi do nas w namacalny sposób w swoim Kościele. W prawdziwej ojczyźnie naszego serca.

Kościół ten jednak to nie tylko miejsce, w którym otrzymaliśmy dar Łaski Trójjedynego Boga. Kościół to też postawione przed nami zadanie. Musimy pozwolić Kościołowi stać się — zgodnie z jego przeznaczeniem — ojczyzną wszystkich ludzi dobrej woli. Spójrzmy na siebie krytycznie: Czy jesteśmy tolerancyjni w stosunku do ludzi innego pochodzenia, do tych, którzy myślą i czują inaczej? Czy „serdecznie ich witamy”? Czy też jesteśmy bliscy stworzeniu kliki, która będzie się sama bronić i nie zniesie żadnego sprzeciwu? Czy mówimy wspólnym językiem, zrozumiałym dla wszystkich językiem miłości? Czy też dzielimy się na większe i mniejsze grupy, na walczące frakcje, z których każda myśli tylko o własnych interesach. Czy ufamy otwarciu i w pokorze przewodnictwu Ducha Świętego, czy też dajemy się zaślepić aroganckiemu i tchórzliwemu duchowi ludzkiemu? I: Czy rzeczywiście stanowimy ojczyznę serca dla tych, którzy błądzą pośród nas bez duchowego schronienia? Czy też zbudowaliśmy sobie własny Kościół, miłujący jedynie prywatną „przytulność”, Kościół, który z czystego egoizmu stracił zainteresowanie dla świata zewnętrznego i gnębiących go problemów?

Kościół jako ojczyzna to nie tylko dar, to także posłannictwo. Jego istota zawarta jest w słowach: Próbujcie codziennie żyć odnowioną wiarą, nadzieją i miłością. Odnosi się to, według kardynała Döpfnera, do wszyst-



kich — od papieża po ostatniego Chrystusowego ucznia. Wspomagajmy się nawzajem w poszukiwaniu Chrystusa i sensu życia; brońmy się wspólnie przed naporem zła; idźmy razem pełnić służbę dla dobra braci w całym świecie.

Tak, bądźmy razem, by także ci z „zewnątrz” mogli odkryć bogactwo wiary i miłości. Bóg Trójjedyny zapewnił nam miejsce w swojej istocie. Dawajmy sobie nawzajem miejsce w Kościele, zdobywajmy dla siebie nawzajem ojczyznę serca.

## POD BANDERĄ KRZYŻA

Statek pod banderą krzyża; pokład wypełniony ludźmi. Trudno o bardziej pogładowy i przekonujący sposób zaprezentowania życiowej drogi chrześcijanina. Ludzie na statku kierują się ku niepewnej przyszłości, wystawieni są na nieustanne kaprysy pogody. A jednak są to ludzie radośni, z nadzieją patrzący na krzyż. Krzyż — podobny do człowieka z rozłożonymi rękoma — wskazuje na tajemnicę Ojca, który miłuje nas swą ojcowską miłością. Pod znakiem tego krzyża my, chrześcijanie, jesteśmy w drodze — my, ludzie, którzy pomimo wszelkiej udręki czujemy się miłowani; my, którzy nie dajemy się stłamsić mimo nędzy i prześladowań; którzy mimo wszystkich wątpliwości, nie wątpimy; którzy nie tracimy nadziei mimo wszelkich zmartwień; którzy w otaczającej nas pustce wierzymy w jej „wypełnienie”. Św. Paweł postawę taką opisał w sposób następujący:

„Zewsząd znosimy cierpienia, lecz nie poddajemy się zwątpieniu; żyjemy w niedostatku, lecz nie rozpaczamy; znosimy prześladowania, lecz nie czujemy się osamotnieni, obalają nas na ziemię, lecz nie giniemy” (2 Kor 4, 8 i n.). Tak wygląda życiowa droga Chrystusowej wspólnoty. Wspólnoty niesionej przez miłość potężniejszą niż pokusa i smutek.

Na statku, którym płyniemy, jest miejsce dla wielu ludzi. Każdy jednak musi pozostawić swemu sąsiadowi swobodę ruchów — by ten mógł żyć i swobodnie się rozwijać.

Dokładnie pamiętam słowa pewnego pielęgniarza, który opiekował się mną w szpitalu. Słowa te bardzo mną poruszyły. Rozmowa nasza zeszła kiedyś na sprawy Kościoła i ten młody człowiek — zaangażowany chrześcijanin — powiedział wtedy: „To, co w przypadku Kościoła budzi moje wątpliwości, to niezwykle brak tolerancji u wielu chrześcijan. Nie mogą oni znieść, że niektórzy ludzie są po prostu inni od nich samych”. Dobrze rozumiałem o co mu chodzi. Członkowie wspólnoty, którzy jedynie sobie przyznają prawo do oceny i respektowania kogoś lub czegoś, nie mogą utworzyć prawdziwego Chrystusowego Kościoła. — Dzieci świata są bardziej secesyjne niż dzieci światłości — zauważył kiedyś Heinrich Böll. Jak długo nie odeprzemy czynnie tego zarzutu, tak długo nasze zachowanie będzie chrześcijańskie jedynie z pozoru. Problem ten jest ciągle aktualny. Pomyślmy tylko o podziale chrześcijaństwa, o tym skandalu, który odbiera nam w oczach świata wiarygodność.

Patrząc na podzielone po dziś dzień chrześcijańskie Kościoły, kardynał Ratzinger powiedział: — Skała Pańska jest rozerwana pomiędzy spierające się ze sobą grupy; jeden Kościół podzielony na wiele Kościołów, z których każdy rości sobie prawo do wyłącznej racji. Taki Kościół stał się dla wielu główną przeszkodą na drodze do wiary. Nie mogą oni dostrzec w nim nic więcej niż grupę ludzi dążących do władzy, aktorów marnego teatryku, których celem jest jedynie urzędowe zarządzanie chrześcijaństwem, co wydaje się pozostawać w sprzeczności z prawdziwym chrześcijańskim duchem.

Chrześcijanie zajęli określone pozycje, czego konsekwencją stało się pomawianie innych o herezję. Jest to prawdziwe negowanie miłości. Oczywiście, że podział chrześcijaństwa nie dokonał się za sprawą naszego pokolenia. Nie jesteśmy w pełni winni, ale też nie jesteśmy bez winy. Kontynuujemy bowiem ten podział, zamiast spróbować go przezwyciężyć.

Papież Jan XXIII powiedział przed otwarciem ostatniego soboru: „Nie chcemy wdawać się w proces historyczny i próbować udowodnić, kto miał rację, a kto jej nie miał. Odpowiedzialność ponoszą wszystkie strony. Chcemy zaapelować jedynie: Pozwólcie nam zbliżyć się do siebie, pozwólcie nam zakończyć schizmę”. To prawdziwie odważne słowa Chrystusowego ucznia. Obróćmy je w czyny i zbliżmy się do siebie. Pozwólmy działać miłości w chrześcijańskim świecie, miłości chrześcijańskiej pełnej różnorodnych sił i darów. Ekumeniczne pojednanie musi stać się sprawą

wszystkich ochrzczonych, a nie tylko paru osób.

Pomyślmy jednak i o tym, że zachwiana trzeźwość, wysunięty na pierwszy plan pragmatyzm i zaślepiająca niecierpliwość mogą na dłuższą metę przynieść ekumenizmowi więcej szkody niż pożytku. Ekumenizm nie może przerodzić się w zwykły eksperyment. Prawdziwe trudności długiego marszu na drodze do jedności nie mogą być skrywane pod zasłoną „proroczych” akcji. Przeciwwagą tego podziału nie będzie ani „idealizm” ani „entuzjizm” (Karl Lehmann). Nie znaczy to, iż wolno nam się pogodzić z podziałem chrześcijaństwa. Nie pozwalajmy sobie i innym na spoczynek tak długo, aż skończy się ta profanacja Ciała Pańskiego, dokonująca się w wyniku podziału Kościoła. Skoncentrujmy się przede wszystkim na modlitwie i nie sprzeciwiajmy się działaniu Ducha Świętego, a pomoże nam to usunąć wszelkie przeszkody między nami. Znajdziemy się wówczas — pojednani mimo różnorodności — na statku płynącym pod banderą krzyża.

## KOŚCIÓŁ SOLIDARNY

Kościół musi być zawsze Kościołem solidarnym. Pojęcie to stało się jednak tak hermetyczne, że musimy znowu dotrzeć do jego prawdziwego znaczenia.

Św. Augustyn w jednej ze swoich mów interpretuje pojęcie „Kościoła solidarnego” w bardzo prosty sposób. Wykłada on słowo „Adam” (tzn. człowiek) w sposób alegoryczny,

tak, że każda litera w języku greckim oznacza początek jednego kierunku świata. Dalej wyjaśnia: „Tak więc »Adam« rozproszony jest po całym świecie. Niegdyś znajdował się w jednym miejscu, później rozpadł się i jego »odłamki« zapełniły Ziemię. Boże miłosierdzie zebrało jednak te skorupy i stopiło je w ogniu swojej miłości. Stopione zostało to, co było rozbite”. „Połączył znowu w całość” — ma znaczyć, że solidarność pomiędzy ludźmi nie jest żadną piękną utopią ani wysnionym ideałem. Solidarność miała swój początek i kamień węgielny w Jezusie Chrystusie, zawsze wiernym bracie wszystkich ludzi.

Wiara w Boga-Człowieka znosi wszelkie granice między nami a innymi ludźmi. Nie wolno nam odcinać się od nich — ani ze względu na osobiste niechęci, ani też ze względu na rasę, historię czy życiowe osiągnięcia. Każdy człowiek należy za sprawą Jezusa Chrystusa do innego człowieka, do swego bliźniego. Tam, gdzie panuje duch Jezusa Chrystusa, musi dokonać się pewien rodzaj przejścia — często bolesnego i niełatwego do pokonania. Ma to być przejście od człowieczeństwa pękniętego i podzielonego do człowieczeństwa nowego, które połączy ze sobą rozbite części. Braterstwo i solidarność chrześcijan mają swoje źródło we wspólnym byciu w Chrystusie.

Nie pozostaje to bez konsekwencji. W solidarnym świecie i takimż Kościele ludzie nie są sobie nawzajem obojętni. Jeśli ktoś chce „uprawiać” solidarność i wprowadzać ją w życie, musi przynajmniej w przybliżeniu znać problemy i troski innych. Dlatego też musimy kierować naszą uwagę ku Kościołowi w całym

świecie. Obojęność i nieczułość są niczym syjamskie bliźnięta. Poczucie łączności wyrasta dopiero wtedy, gdy zwracamy się ku sobie pełni serdeczności, gdy interesujemy się innymi, gdy nawiązujemy wzajemne kontakty. Dlatego powinniśmy szukać dokładniejszych informacji — choćby o Kościele na Wschodzie, prześladowanym i zmuszanym do milczenia, nasączonym krwią męczenników. Czy zdajemy sobie z tych okropności sprawę? Chrześcijanie poddawani są przesłuchaniom w świetle reflektora i żywcem grzebani w izolatkach. Prześladowanie chrześcijan w naszych czasach, prześladowania, o których środki masowego przekazu przeważnie milczą, przybrały olbrzymi wymiar. Istnieją dzisiaj kraje, w których bycie chrześcijaninem jest sprawą życia i śmierci. Miliony ludzi muszą na własnej skórze odczuwać wyszydzony i cierniowy żywot Jezusa. Jeśli będziemy uważni, to dostrzeżemy także tzw. Kościół milczący. Jeśli oczywiście zechcemy go dostrzec, upajając się swoją własną wolnością.

W Kościele solidarnym trzeba wzajemnie sobie pomagać. Św. Bazyli napomina: „Walczcie za narody i nie patrzcie jedynie na siebie, którzy w spokojnych portach jesteście chronieni Łaską przed naporem złych duchów”. Wzywa on wierzących: „Podajcie rękę Kościołom walczącym, by klęski swej nie ponosiły w opuszczeniu i nie czuły się osamotnione w wierze”. Podajmy rękę Kościołom ubogim, by ich członkowie nie byli zmuszeni walczyć z niedostatkiem i ginąć z głodu. Nikomu nie wolno traktować własnego dobrobytu jako

przywileju. Fakt posiadania niesie bowiem ze sobą wyraźne społeczne zobowiązania.

Podajmy też rękę Kościołom prześladowanym. Piętnujmy wyroki śmierci, protestujmy przeciw oszczerczym kampaniom i wszelkiej krzywdzie. Żądajmy respektowania praw człowieka. Upierajmy się przy tym, by postanowienia helsińskie nie ograniczały się jedynie do słów.

Wielu krytykuje nasze próby i zarzuca nieskuteczność wszelkich publicznych oświadczeń skierowanych przeciw temu czy innemu procesowi, przeciw tej czy innej niesprawiedliwości. Mówią, że nic z tego nie wyniknie. Nasza odpowiedź musi być zdecydowana: Musimy nieustannie zabierać głos w imieniu tych wszystkich, których zmuszono do milczenia. Jeśli tego zaniechamy, to po niedługim czasie Zachód nie będzie już pamiętał o tym, że tak wielu ludzi musi odchodzić z życia publicznego właśnie ze względu na swoją wiarę. Bądźmy ich reprezentantami — krzyczymy głośno, by każdy zniewolony i prześladowany wiedział, że nie jest już spisany na straty, że są jeszcze ludzie, którzy upominają się o niego i przyznają do wspólnoty z nim.

Słowa naszego protestu nie przyniosą jednak owoców i szybko przeminą, jeśli nie będzie za nimi stała modlitwa. Każdy, kto ma pojęcie o potędze modlitwy, potwierdzi, że żadna siła w świecie nie kruszy tak skutecznie więzionych murów, nie odnawia i nie wzmacnia ducha, nie budzi nadziei i wierności, jak właśnie modlitwa, którą odmawiamy za drugiego człowieka. Bernard z Clairvaux tymi słowami apelował do chrześcijańskiej wytrwałości: „Gdy

idzie o Kościół, będziemy trwać i walczyć aż do śmierci. Jednak nie tarczą i włócznią, lecz naszą własną bronią — modlitwą i łzami poświęconymi Panu”.

## RODZINA — NIE TYLKO ŹRÓDŁO ZASILANIA

Stara afrykańska historyjka opowiada o pewnym misjonarzu, który obserwował dziwne zachowanie Beduina. Ciągłe kładł się na ziemi i przykładał ucho do pustynnego piasku. Na pytanie o cel tej czynności odpowiedział: — Przyjacielu, słucham jak płacze pustynia. Ona chce być ogrodem. Ta stara historia mówi o tym, że we wszystkim, co jest na ziemi, tkwi wszechpotężne pragnienie piękna, płodności i spełnienia. Pragnienie to — wyrażane nawet przez „niemą” naturę — w przypadku człowieka urasta do silnej tęsknoty. Człowiek odczuwa potrzebę spełnienia tego wszystkiego, co zostało w nim zaszczepione.

Nasza wiara mówi nam, że już ten świat jest miejscem świętości i nadziei. Choćby nawet rzeczywistość nasza przypomina płaczącą pustynię, to przemieni się ona w ogród. Poprzez to bowiem, iż Bóg stał się człowiekiem, my staliśmy się braćmi i siostrami Chrystusa, którym dana została obietnica: „Oto czynię wszystko nowe” (Ap 21, 5).

Boża miłość i wierność urzeczywistniają się w widoczny „ludzki” sposób w słowie i sakramencie Kościoła. Świętość uobecnia się jednak nie tylko w liturgii. Życie religijne dokonuje się przede wszystkim w małżeństwie i rodzi-



nie. Drugi Sobór Watykański wyraźnie wypowiedział się na temat „Kościoła domowego”. Zbawienie bowiem dokonuje się wszędzie tam, gdzie życie małżeńskie i rodzina mają charakter prawdziwie chrześcijański. Nie może dokonać się jednak ani bez nas, ani obok nas. Powinniśmy tak jak Maria — pierwsza, która została zbawiona — zaakceptować Boże dzieło zbawienia, a tym samym chrześcijańskie małżeństwo i rodzinę.

Rodzina to nie tylko instytucja ukierunkowana na pewien cel — to nie źródło zasilania, którego potrzebujemy co jakiś czas, by móc się najeść, przebrać i wyspać. Rodzina nie jest klubem telewizyjnym, którego członkowie siedzą przed jednym ekranem; nie jest też luźnym „związkiem” uczniów i pracujących, którzy z rana się rozchodzą, a wieczorem schodzą. Rodzina to upragniona przez Boga prawdziwa wspólnota. Spójrzmy, że nasza własna rodzina to nie grupa ludzi, w której każdy „ciągnie” w swoją stronę. Przeciwnie — jedność w rodzinie utrwała się; wzrasta gotowość do wzajemnej pomocy, tworzy się atmosfera miłości i wzajemnej odpowiedzialności. Zupełnie słusznie skrytykowano ostatnio pogląd głoszący, iż „życie ludzkie znajduje swój sens w wolnym od wszelkich obowiązków szczęściu, które można konsumować niczym używkę”. Przeciwnie: „Właśnie w rodzinie można się bardzo wcześnie nauczyć, że szczęście jawi się jako poświęcenie dla zadań, które nas pochłaniają, jako wynik ofiary i spełnienia obowiązków” — pisze Ludolf Hermann. Byłoby fatalne, gdyby tego typu wypowiedzi zostały potraktowane jedynie jako etyczny „idealizm”.

Rodzina chrześcijańska to w istocie wspólnota wiary. Tym, kto nawet w momentach kryzysowych trzyma ją w jedności, jest Jezus Chrystus, nasz Pan. Rodzina musi być miejscem, w którym nigdy nie milknie religijny dialog. Trzeba przewycięzać niechęć do poruszania tych tematów, trzeba przełamywać „religijne” milczenie, które niejednokrotnie wkrada się w nasze życie. Muszą to robić i dzieci, i rodzice, tak aby też następne pokolenia mogły poznać sens świata i sens ludzkiego życia. Obecność na Mszy św. i codzienna modlitwa powinny znowu odzyskać przynależną im rangę. Jeśli pozostaniemy bierni, nasze życie religijne wygaśnie.

Położmy kres duchowemu spustoszeniu naszych rodzin. Nie ryzykujemy późniejszych zarzutów, jakie postawią nam nasze własne dzieci, iż daliśmy im wiele, ale to najważniejsze zatrzymaliśmy dla siebie. Nie daliśmy poznać im Boga i Jego radosnej bliskości.

Małżeństwo i rodzina to nie tylko Kościół w mikroskali, to także fundamentalne komórki społeczne, którymi, ze względu na ich istotę, nie można dysponować w dowolny sposób. Nie ma społeczeństwa, które na dłuższą metę mogłoby istnieć bez rodziny. Prawie nigdzie nie sprawdza się wspólne życie w komunie i wspólnotach, nie sprawdza się próba stworzenia nowego życia pod hasłem „samorealizacji”. Powiązania o charakterze nieinstytucjonalnym nie mają z reguły przyszłości.

Gdy chodzi o wspólnotę mającą charakter wychowawczy, rodzina okazuje się być nieodzowna. Ojcostwo i macierzyństwo to u ludzi zadania niepodzielne i nikt nie powinien nam

wmawiać, że wychowanie dzieci jest właściwie sprawą społeczeństwa. Na głowie zaś stawia się tę sprawę twierdząc, że ogół częściowo powinien sprawę wychowania przekazać rodzinie! Nie możemy się godzić na tak wielkie zubożanie rodziny — choćby to miał być program opracowany przez specjalistów. Rodzina nie potrzebuje wcale, by tak wielce niedoskonałe społeczeństwo przenosiło na nią zadania, które i tak od dawien dawna jej przynależą. Nie może ona utracić swej roli, jaką odgrywa w społeczeństwie i zostać sprowadzona jedynie do funkcji „kolektywu”. Powinna znać swoją godność i przeciwstawiać się godzącemu w nią „przewartościowaniu wartości”; musi opierać się siłom, które stanowią zagrożenie dla jej egzystencji. Wielki Johann Michael Sailer pisał już w XIX w.: „Dobra rodzina jest niczym naczynie święte, z którego czerpią dobroć następne pokolenia — po to, by stać się lepszymi”. Obraz przyszłości zależy w pierwszej linii właśnie od rodziny, a nie od społeczeństwa. Najważniejszym wydarzeniem naszego stulecia będzie prawdopodobnie walka o rodzinę i zreformowanie społeczeństwa, a tym samym o „lepszą potomność”.

## ŚWIAT POTRZEBUJE MIŁOŚCI

Sami wiemy, jak bardzo potrzebna jest światu miłość, ponieważ bez niej wysycha on i stygnie. Wielu ludzi mówi już nawet o „lodowcowej epoce serc”.

Przed kilkoma dniami odbyłem długą rozmowę. Zatelefonowała do mnie, późno wieczor-

rem, pewna nauczycielka i szybko wyjaśniła, o co chodzi: Jesteśmy bezradni wobec pewnego problemu. Czy mógłby Pan nam pomóc? Otóż ułomne dzieci z naszej szkoły specjalnej nie są dopuszczane do Pierwszej Komunii razem z dziećmi „normalnymi”. Odsuwa się je twierdząc, że któreś mogłoby płakać, pokrzykiwać czy też boleśnie się potłuc, co zakłóciłoby niewątpliwie całą uroczystość. Zastraszeni rodzice tych dzieci doszli w końcu do wniosku, że najlepiej będzie nie nalegać na wspólną Komunię, by uniknąć późniejszego wytykania palcami.

Mówimy tu o Komunii jako wspólnocie z Chrystusem i zapominamy, iż wspólnota ołtarza obejmuje wszystkich wierzących, ponieważ tak chciał Pan. Czy to nie skandal, że odsuwa się na bok dziecko, ponieważ brak mu takiej czy innej zdolności, nie zastanawiając się przy tym nad jego ewentualnymi „skrytymi” talentami. Czy to nie skandal, że znieważa się takie dzieci, obrzuca obelgami, odmawia się im akceptacji i miłości? A gdzież ten tak wychwalany humanitaryzm?

To właśnie jeden z przykładów, wskazujący gdzie i jak można zmienić świat. Mówimy o wierze, miłości i nadziei. Potrzeba nam jednak wiele sił, by wszystkie te chrześcijańskie cnoty móc zrealizować. Potrzeba nam sił, ponieważ musimy porzucić nasze uprzedzenia i nasz egoizm, musimy porzucić to, co powierzchnowe i zstąpić do głębi.

## BRATERSKA WSPÓLNOTA

Braterską wspólnotę trudno skonstruować, zorganizować czy też w ogóle zaplanować jej

powstanie. Źródłem żywotności i rozwoju tej wspólnoty musi być odnowiona wiara. W ślad bowiem za wiarą, która popycha ku czynowi, idzie odpowiedzialność za braterską wspólnotę, za wszystkich wierzących.

Ta wspólnota od samego początku była zagrożona. Już za czasów Pawła we wspólnocie korynckiej panowała niezgoda. Powstały liczne ugrupowania, a realną groźbą stały się rozłamy. Każdy powoływał się na inne imię: „Ja jestem Pawła, a ja Apollosa; ja jestem Kefasa, a ja Chrystusa” (1 Kor 1, 12).

Dalsza historia Kościoła nie przyniosła niczego lepszego. Drogi chrześcijan rozeszły się. Sekty i schizma stały się źródłem trwającego do dziś, fatalnego rozłamu. Ruch ekumeniczny naszego stulecia doprowadził do pewnego zbliżenia między poszczególnymi wyznaniem i dał początek dialogowi. Jednak droga do pełnej jedności wydaje się być daleka i niełatwa. A do tego ledwie co zaczęliśmy się porozumiewać z innymi Kościołami chrześcijańskimi, a tu już gotowy spór we własnych szeregach. Postępowi tu, konserwatyści tam! Jedni podejrzewają drugich o próby wywyższania się, nie mogą się wzajemnie znieść i ze złości zaczynają zgrzytać zębami. Rewolucjoniści i tradycjonalisci szkodzą kościelnej jedności; rozbijają we wspólnotach poczucie braterstwa.

Rozłam wspólnoty czy też grupy bierze się najczęściej stąd, że zatracą ona swój trzon, że rezygnuje, czy też odsuwa na bok to, co stanowi jej sedno. Inaczej mówiąc: Jeżeli chcemy pozostać chrześcijańską wspólnotą, to musimy każdego dnia na nowo gromadzić się wokół Jezusa Chrystusa, naszego Pana, który stano-

wi istotę naszej wspólnoty. Wszyscy musimy znów spojrzeć na Jezusa, za sprawą zbawienia którego powstał Kościół i pojedynczy ludzie na całym świecie złączyli się we wspólnocie. Musimy słuchać Jego słów i pozwolić, by nas prowadził. Już św. Paweł pytał zwaśnionych chrześcijan: „Czyż Chrystus jest podzielony? Czyż Paweł został za was ukrzyżowany? Czyż w imię Pawła zostaliście ochrzczeni?” (1 Kor 1, 13). Te same pytania trzeba postawić skłóconym Kościołom także i dziś. Czyż już nie pamiętacie komu zawdzięczacie zbawienie, w imię kogo zostaliście ochrzczeni? Czy jakkolwiek teolog naszych czasów poszedł za was na śmierć? Czy zostaliście może ochrzczeni w imię jakiegoś tradycjonalisty? Nigdy nie dość będzie przypominania słów św. Pawła: „A przeto upominam was bracia, w imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, abyście byli zgodni i by nie było wśród was rozłamów; byście byli jednego ducha i jednej myśli” (1 Kor 1, 10).

Apostoł Paweł nie pozwolił zaanektować sobie jednej określonej grupie. Nie stanął po niczyjej stronie. Napomina wszystkich jednakowo do jedności w Panu. Ja także nie uważam się za powołanego do udzielenia biskupiego poparcia jakimukolwiek ugrupowaniu w Kościele. Wielu ludzi jednak tego właśnie oczekuje. Domagają się oni, by biskupi wreszcie wkroczyli i „wyklarowali” całą sytuację. Uważam jednak, iż nie mogę sprawować mego urzędu w ten sposób. Nie wolno mi. Biskup zobowiązany jest stać po stronie jedności wszystkich. Jego zadaniem jest budowanie mostów i godzenie wielości w jedności. Jako

następca apostołów może tylko powtarzać apostołskie słowa napomnienia: — Bądźcie jednego ducha, nie dajcie się podjudzać, zrezygnujcie z postaw radykalnych, prowadzących do rozłamu.

Przed paroma dniami przeczytałem krótką historyjkę, która w tym kontekście może dać nam wiele do myślenia:

Pewien chrześcijanin, doznawszy niespodziewanie olśnienia, postanowił przeżywać swoje chrześcijaństwo w sposób radykalny. Nie dostrzegał przy tym, jak bardzo olśnienie to było ubogie w „światło”. Starając się być bez reszty „światłością świata”, oślepiął i spalał swoich współbraci. Próbując w równie radykalny sposób być „solą ziemi”, uczynił słonym ich życie, a bezwarunkowa próba bycia „zaczynem” skwasiała dzień powszedni tym wszystkim, którzy mieli z nim do czynienia. Opamiętawszy się jednak, człowiek ten doznał nowego, tym razem zbawiennego, olśnienia. Starał się teraz być „światłością świata” tak, by ogrzać innych łagodnym blaskiem swej dobroci i łagodności. Starał się być „solą ziemi”, by przydać życiu swych braci nowego smaku, zaś „zaczynem”, by coraz więcej ludzi doznawało za jego sprawą „umocnienia”. Tak wielka przemiana mogła się w nim dokonać dlatego, że nigdy nie zamykał się na słowa prawdy o sobie samym.

Wydaje mi się, że raz jeszcze wypływa tu stara chrześcijańska zasada: „Cokolwiek czynisz, czynź z miłości i w miłości”. Czy można wyobrazić sobie lepszy drogowskaz prowadzący ku braterskiej wspólnotocie?

## MIEJSCE SPRAWDZIANU

Tołstoj przekazał nam niezwykłą legendę o dwóch mnichach, którzy udali się na poszukiwanie cudownej wieży z wielkimi drzwiami, prowadzącymi prosto do nieba. Mnisi wędrowali bardzo długo. Nie szczędząc trudu, znosili upał i chłód, ponieważ ciągle mieli w pamięci słowa: „Droga do królestwa Bożego wiedzie poprzez wiele ucisków”. Po wielu latach dotarli do owej wieży i pełni radości podeszli do drzwi. Otworzywszy je... stanęli we własnej klasztornej celi.

Jakie jest przesłanie tej starej rosyjskiej legendy? Wiara w Boga, w Jezusa Chrystusa, w zbawienie, radosne oczekiwanie na niebo, wielka obietnica wypełnionego sensem życia — cała ta wiara wiąże się z rzeczywistością, w której żyjemy, a nie z naszymi snami. Mnisi zostali wpuszczeni do własnej klasztornej celi przez drzwi, których długo poszukiwali. Ich własna cela to właśnie miejsce, w którym żyli i w którym powinni byli się sprawdzić.

Jeśli ktoś chce oderwać niebo od ziemi, wiarę od życia, a niedzielę od dnia powszedniego, to nie będzie mógł sprostać ani jednemu, ani drugiemu. Sprawy te bowiem są nierozdzielne. Jeśli ktoś z nas próbuje tak jednak robić, potwierdza jedynie zarzut, iż „wy, chrześcijanie, niczego nigdy nie posuwacie do przodu”, nie zmieniacie świata na lepsze. Odrywając bowiem wiarę od życia, sprzeniewierzamy się słowom apostoła: „Jaki z tego pożytek, bracia moi, skoro ktoś będzie utrzymywał, że wierzy, a nie będzie spełniał uczynków?... Tak i wiara,



jeśli by nie była połączona z uczynkami, martwa jest sama w sobie” (Jk 2, 14. 17).

Wiara chrześcijańska nie jest oderwana od życia. Jej korzenie i jej spełnienie tkwią w samym świecie. A jeśli mówi się dzisiaj tak wiele o duchowości — słusznie poszukując nowych form i nowej głębi — to nie ma to nic wspólnego z ucieczką w eteryczny świat pozorów.

Wiara daje nam siłę, byśmy sprościli wymagom dnia powszedniego. Człowiekowi, który pyta o możliwość praktycznego zastosowania swojej wiary, o dziedzinę, w której jego wiara odnajdzie właściwy kształt, możemy odpowiedzieć jedynie tak, jak czyni to w wielu miejscach Ewangelia: Sprawdzić możesz się tam, gdzie żyjesz; czy też — idąc za rosyjską legendą — twoja wiara musi mieszkać w twojej celi. Wiara trzyma się z dala od wielkich i pustych słów. Nie może ona (jak mówi św. Augustyn) być przyjmowana tak jak życiowe rozkosze. Jest odpowiedzią człowieka na słowo Boże, odpowiedzią udzieloną w milczeniu.

Bóg, który jest dla nas wszystkim i wszystko dla nas uczynił, oczekuje teraz od nas codziennego sprawdzianu. Ma się on dokonywać na tej „małej ścieżce” naszego dnia powszedniego, czego przykład dała św. Teresa z Lisieux. „Mała ścieżka” to symbol, który ma nas zachęcić do cierpliwości, do czynienia małych kroków na drodze wiary. Życie bowiem nie polega na wielkich projektach i milowych krokach, lecz na tym, iż każdego dnia posuwamy się naprzód o jeden mały krocze. Gdzie możemy uczynić ten pierwszy krok? Ten pierwszy — w rodzinie.

Złożyłem wizytę w pewnym domu dziecka i pierwszego napotkanego chłopca, a był nim pewien dziesięciolatek, spytałem o przyczynę jego pobytu tutaj. Chłopiec odpowiedział szlochając, że jest tu dopiero od kilku dni i strasznie tęskni za domem. Jego rodzice ciągle się kłócą i właśnie postanowili się rozwieść. On wylądował w domu dziecka. Jakiż straszny los kryje się w tej informacji! Rodzice rozchodzą się, mimo iż parę lat temu przyrzekali sobie miłość i wierność na wieki, a biedne dziecko zostało po prostu odsunięte.

Setki tysięcy dzieci określa się dzisiaj w naszym kraju mianem sierot społecznych. Nikt nie może w sposób wymierny ustalić, co dzieje się w ich wrażliwych, pełnych nadziei duszyczkach — jak głęboko i nieodwracalnie zostały zranione. Z pewnością nie powinniśmy pomijać też sytuacji zgoła przeciwnych, gdy ludzie trwają w swych związkach małżeńskich i rodzinach pomimo różnych przeciwności. Tu właśnie rozpoznać możemy wiarę urzeczywistnioną. Św. Tomasz z Akwinu powiedział: „Od chrześcijan nie oczekuje się, by ciągle czynili coś szczególnego. Oczekuje się od nich jednak, by ze szczególną pieczą wypełniali swoje obowiązki”.

To samo dotyczy naszej pracy zawodowej. Także w tej dziedzinie może się zdarzyć, że ktoś z nas rzuci wszystko z jakiegoś powodu i powie: — Poszukam sobie nowej pracy. Nie tylko Nowy Testament, lecz również kryzysy naszego pełnego niedoskonałości świata pouczają nas, że potrzeba wiernych i spolegliwych ludzi, którzy sprawdzać się będą w dniu powszednim za sprawą „małych kroków”.

Jedynie taką drogą możemy przenieść do naszego życia prawdy Ewangelii. Jedynie w ten sposób możemy nieść swój krzyż i iść drogą, którą wskazuje nam Bóg.

Tylko taka postawa pozwoli nam zaakceptować nasze czasy. Możemy dzisiaj spotkać w świecie swoistą filozofię — pragnienie zdys-tansowania się, życia „gdzie indziej” i „kiedy indziej”. Jakże wielu ludzi mówi o alternaty-wie w tym sensie, że chętnie „porzuciliby” historię i dzisiejszą rzeczywistość. Jakże wielu członków Kościoła jest skłonnych powiedzieć: — W dawnych czasach mógłbym chyba być prawdziwym chrześcijaninem. Dzisiaj — przy tylu problemach i sporach, gdy tak wiele trzeba zdobywać na nowo — poddaję się.

Jeszcze raz powtarzam: nasza wiara sprawdza się tu i teraz. Wiara sprowadza nas zawsze na powrót do naszej własnej życiowej sytuacji, którą obdarzył nas lub też obarczył Bóg. Przypominamy mnichów, którzy zostali na powrót sprowadzeni do swej klasztornej celi.

## MIASTO W NIEBEZPIECZEŃSTWIE

Każdy, kto w jakiś sposób ponosi odpowiedzialność za życie publiczne wie, że wokół miasta gromadzi się bardzo wiele problemów. Nie chodzi tu o zwykłe, nieustające kłopoty miejskiej rady, o to, skąd wziąć i na co naj-pierw wydać pieniądze. Nie myślę także o kryzysach energetycznych ani problemach gospo-darczych, które polityce i administracji towa-rzyszą zawsze. Dużo bardziej chodzi mi o ty-

powe dla naszych czasów „miejskie” problemy.

W pewnym wielkim mieście poproszono dzieci, by namalowały swoje życie w mieście. Wynik był zastraszający. Niektóre dzieci były co prawda zafascynowane zdobyczami techniki, ogólnie jednak na obrazkach panował nastrój przygnębiający. Ich tematem były wszelkie niedogodności, które niesie ze sobą miasto, szczególnie zaś udręka pośród tłumu. Wiele dzieci namalowało siebie jako istoty nikłe, nie znaczące pośród ulicznego ruchu — obok dużych aut, wielkich domów, pałaców ze szkła i betonu. Niektóre przedstawiły miasto jako więzienie z murami i kratami.

W naszych miastach wyraźnie coś nie jest w porządku. We współczesnej literaturze uderza nas obraz miasta, w którym życie — coraz bardziej pozbawione międzyludzkich kontaktów — jest czymś na kształt psychogramu obrazującego brak międzyludzkiej łączności. Spotkałem się w którymś z artykułów z obrazowym opisem miejskiego życia: „Wyobraźmy sobie na chwilę dom z czterema piętrami oraz schodami, które te piętra jednocześnie łączą i dzielą. Na parterze nigdy jeszcze nikogo nie widziano. Pierwsze piętro — brązowe drzwi, odpryskujący lakier, szyba z mlecznego szkła. Tu ktoś mieszka. Drugie piętro. Tutaj też ktoś mieszka. Także trzecie piętro jest zamieszkałe. Jeśli któryś z lokatorów się wyprowadza, zaraz na jego miejsce pojawia się następny. Pierwszego dnia uderza w nozdrza zapach czosnku, kiedy indziej zapach oleju, co wskazywałoby na mechanika albo zapach trocin, co znów sugeruje obecność stolarza. Później pojawia się zapach pieluch, ale już trzeciego dnia nikt nie

zwraca na to uwagi. Zapach stanowi już integralną część domu. Jest to znowu dom o czterech piętrach. Na drugim piętrze znowu ktoś mieszka. Tabliczki na drzwiach zmieniają się... Może jednak i na parterze ktoś mieszka..." (Peter Bichsel).

Żyjemy obok siebie anonimowo. Prawdziwa wspólnota wydaje się być poważnie zagrożona, także w małych i średnich miastach. Jeszcze raz nasuwa się tu pojęcie: „syndrom braku łączności”, a pojęcie „niegościnnosć” autorstwa Alexandra Mitscherlicha, stało się, w odniesieniu do naszych miast, modnym hasłem.

Czy istnieje jakieś wyjście, jakieś rozwiązanie, jakieś — że tak powiem — „zbawienie” dla miasta?

W ostatniej księdze Biblii jest mowa o mieście zstępującym z góry (por. Ap 21, 9 i n.) — to wskazówka, że nie możemy sami „z dołu” stworzyć miasta doskonałego, niezmaconej niczym, świętej wspólnoty. Musimy czekać na Boży dar. Otwierając pierwszą księgę Biblii znajdziemy obraz ogrodu (por. Rdz. 2, 8 i n.). Nie należy przeciwstawiać obu tych obrazów. Wedle biblijnego świadectwa od ogrodu do miasta, od natury do kultury prowadzi słuszna droga. Nie powinniśmy szukać w Biblii zarzutów natury zasadniczej wobec miasta. Nie jest bowiem sprzeczne z biblijnym obrazem człowieka, by zakładał miasta i poszukiwał takich form wspólnoty, jakie dzisiaj znamy i rozwijamy. Zasadniczą sprawą jest, że budując miasta i kształtując ich dalsze losy, musimy spełnić pewne warunki.

Jeden z tych zawsze aktualnych warunków zakłada, że będziemy współzylili w mieście

otwartym dla ludzi. Takie założenie pozwoli nam zarysować pierwsze kontury przyszłego miasta. Jak ma wyglądać życie w takiej wspólnocie? Nie będzie tu o wszystkim decydować walka na łokcie ani nieubлагana konkurencja, ani drętwy autorytet. Nowe miasto zbudujemy w nowy sposób, a musi na nim wywrzeć swoje piętno humanizm. Każdy człowiek czuje się akceptowany, wie, że respektuje się jego indywidualność. Nie ma tu grupy anonimowych ludzi, w której „ktoś” żyje obok „kogoś innego”. Nic nie tracą na aktualności Boże słowa skierowane ku człowiekowi: „Wezwałem cię po imieniu” (Iz 43, 1). Człowiek zawołany po imieniu jest w pełni respektowany jako osoba. Wszystkich ludzi dotyczy głęboki wzajemny szacunek, otwartość i gotowość „bycia” dla innych i nie pochłonie tego żądza posiadania. Miasto otwarte dla ludzi otacza szacunkiem wszystkich — młodych i starych, zdrowych i chorych, szczególnie zaś dzieci. Zapewnia im rozwój i ofiarowuje pole do działania. Miasto nie musi wcale być jedynie miejscem harówki, kupna i sprzedaży. Potrzebne nam miasto, w którym ludzie żyją i działają wspólnie, w którym dzielą ze sobą radość i cierpienie, w którym można usłyszeć słowa pozdrowienia. Stary człowiek nie jest tu traktowany jak niepotrzebna nikomu rzecz, odrzucana przez społeczeństwo. Jest akceptowany w równym stopniu jak ten najmłodszy i najmniejszy, jest ceniony i szanowany, ponieważ przeżył swoje życie i wytrwał.

Idąc dalej — w naszym mieście obowiązywać powinno prawo braterstwa. Z okazji 15

rocznicy istnienia Towarzystwa Ewangelicznego w Stuttgarcie, Theodor Schöber wypowiedział następujące słowa: — Miasto pozbawione braterstwa daje nam przedsmak piekła — pomimo całej infrastruktury i bezkolizyjnych skrzyżowań. Braterstwo to coś więcej niż tolerancja. Uświadamia nam ono, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego ojca, a tym samym jesteśmy nie tylko zdani na siebie wzajemnie, lecz również dobrowolnie powinniśmy się sobą interesować. Ponoszę odpowiedzialność wspólnie z innymi i za innych. Nikt nie pyta: „Czyż jestem stróżem mego brata?” (Rdz 4, 9). Nikt obojętnie nie przejdzie obok *gastarbeiterra* czy obcego, który pyta o mieszkanie, obok wielodzietnej rodziny ani obok człowieka zniewolonego przez nałóg, który nie może znaleźć drogi wyjścia. Braterstwo oznacza, że prawo miłości nabiera charakteru powszechnego. Miłość bliźniego nie jest wyłącznie sprawą prywatną. Z indywidualistami nie da się zbudować miasta.

Tutaj właśnie gmina chrześcijańska pełnić powinna rolę „zaczynu”. Powinna wspierać miasto każdego dnia i dawać mu to, co najlepsze — ową braterskość, która ma swe źródło w Chrystusie, Bożym Synu, który stał się bratem wszystkich ludzi.

**„SZUKAJ POKOJU, IDŹ ZA NIM!”**

Czy w naszym skołatanyim świecie można jeszcze znaleźć spokojną przystań? Gdzie jest miłość? Gdzie są ludzie — zawsze dla siebie otwarci i gotowi do pomocy?

Niejeden z nas będzie skłonny do dawania negatywnej oceny naszemu światu i odeśle pytającego z niczym. Mimo to świat nie jest tak skończenie zły. Można w nim jeszcze odnaleźć pokój.

Przypomina mi się tu pewna żydowska legenda: Dwóch braci mieszkało niegdyś na górze Morija. Młodszy miał żonę i dzieci, starszy był samotny. Bracia pracowali razem — wspólnie orali pole i siali. W żniwa zebrali zboże i rozdzielili snopki na dwie równe części. Gdy nadeszła noc, obaj położyli się przy swoich snopkach i zasnęli. Starszy nie mógł jednak znaleźć spokoju i pomyślał: Mój brat ma rodzinę, a ja jestem sam. Mimo to wziąłem tyle samo snopków co on. To niesprawiedliwe. Wstał, wziął część swoich snopków i przeniósł je na stronę brata. Później położył się i zasnął. Chwilę później zbudził się młodszy brat. Także on pomyślał: Brat mój jest sam i nie ma dzieci. Kto mu pomoże, gdy nadejdzie starość? Czy będzie miał to, co potrzebne do życia? Wstał, wziął część swoich snopków i zaniósł wiązkę na stos swego brata. Gdy wzeszło słońce, bracia podnieśli się z posłania. Zdziwili się ujrawszy, że ich kopce były tej samej wielkości, co poprzedniego wieczora. Obaj jednak milczeli. Następnej nocy każdy z nich czekał, aż zaśnie drugi. W przekonaniu, że to się już stało, obaj opuścili swe legowiska, by przenieść zboże na drugą stronę. W połowie drogi spotkali się i przekonali, jak dobre mieli wobec siebie zamiary. Odłożyli swoje snopki i uścisnęli się, pełni braterskiej miłości. Bóg w niebie popatrzył na nich i po-



wiedział: „Święte jest mi to miejsce. Tutaj chcę mieszkać pośród ludzi”.

Historia zwraca naszą uwagę przede wszystkim na to, iż obaj bracia bezpośrednio po swoich rozważaniach przeszli do czynu. Nie da się tego powiedzieć o nas. Choć tyle się mówi o pokoju, to setki haseł nie pociągają za sobą czynów. Jezus zaś w swoim Kazaniu na Górze jasno powiedział: „Błogosławieni, którzy wprowadzają pokój, albowiem oni będą nazwani synami Bożymi” (Mt 5, 9).

„Wprowadzanie pokoju” nie jest z pewnością sprawą łatwą. Wielkie siły musi uruchomić człowiek, który chce służyć sprawie pokoju, który chce zapewnić go sobie i innym. Musi on przede wszystkim przewyciężyć egoizm i wypracować w sobie gotowość do pojednania. Jak często odmawiamy innym dobrego słowa, słowa wybaczenia? Jak często jesteśmy dłużni naszym bliźnim paru zachęcających gestów i koniecznej pomocy? Często łatwiej spotkać się z pięścią niż z wyciągniętą do pomocy ręką. Powinniśmy wychodzić sobie naprzeciw i rozładowywać konflikty — te ukryte i te otwarte. Na tym właśnie ma polegać nasz wkład w sprawę pokoju. Ale dobra wola to jeszcze zbyt mało. Tu potrzeba siły jaką posiada miłość. Tylko ona może stać się nośnikiem pokoju. Powierzchnowa więź nie zlikwiduje rysy idącej przez całą ludzkość. Tylko miłość może stworzyć człowieka, który nie zagraża drugiemu człowiekowi. Tylko ona jest w stanie wystąpić przeciw wszelkiej wrogości, będącej często zwykłym lustrzanym odbiciem naszego pozbawionego miłości serca.

Jezus zażądał miłości dla wszystkich: „Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladują; tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia, że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych” (Mt 5, 44 i n.). Jezus sam spełnił wymogi stawiane innym, składając z siebie dobrowolną ofiarę na krzyżu — z sercem przepełnionym dobrocią i miłosierdziem. „On, gdy Mu złorzeczono, nie złorzeczył, gdy cierpiał, nie groził, ale oddawał się Temu, który sądzi sprawiedliwie” (1 P 2, 23). Jego działanie na chwałę pokoju zostało potwierdzone przez Ojca w akcie zmartwychwstania. Teraz wolno nam głosić chwałę Jezusa i składać Mu nasze dziękczynienie ludzi zbawionych: „On bowiem jest naszym pokojem” (Ef 2, 14).

Celem ostatniego czynu Zbawiciela nie było jedynie zaspokojenie naszego „zapotrzebowania” na sens. Działanie Jego nie polega też na magicznej sile, która oddziałuje na historię ludzkości. Ci, którzy niosą Jego imię, są powołani, by iść za Nim Jego drogą, zgodnie z Jego duchem. Ponieważ On umiłował nas do końca, my także możemy i powinniśmy kochać. Boże słowo przypomina nam o obowiązku czynnej miłości, która stanowić ma naszą odpowiedź w czynie, a nie w słowie. Powinniśmy innym przekazywać ten dar, który sami otrzymaliśmy — dar nieba powinien przynieść szczęście ziemi.

Fakt, iż to „postępowanie za pokojem” (por. Ps 34, 15) jest obecnie naprawdę trudne, nie może nas zwolnić z „dawania świadectwa”

Chrystusowemu słowu. Najważniejsza jest nasza akceptacja dla Jego nakazu. Powtarzam: Jeśli zawierzymy Jego pokojowemu przesłaniu, odczujemy, jak wiele musimy w sobie przewyciężyć, by czynić to, czego sami z siebie wcale czynić nie chcemy. Kto zdecydowanie dąży do pokoju, musi niejednokrotnie wznieść się ponad własne uczucia i skłonności — nie wolno mu przyjąć ani schematu „wróg-przyjaciel”, ani zasady „oko za oko”. Przypowieść o dwóch braciach wyraźnie pokazuje nam, gdzie rozpoczyna się droga pokoju. Jej początek jest tam, gdzie zaczynamy troszczyć się o innych bardziej niż o siebie, gdzie wychodzimy naprzeciw potrzebom innych ludzi, mając na uwadze ich dobro.

Tego rodzaju postawa nie ogranicza się do sfery prywatnej. Papież Jan XXIII powiedział: „Wy, chrześcijanie, powinniście być dla dzisiejszego świata niczym świecąca iskra, powinniście stanowić epicentrum miłości i być zacynem”. Naszemu światu grozi bowiem zagłada. Atomowe zasoby naszych arsenałów dysponują obecnie siłą rażenia odpowiadającą mniej więcej milionowi bomb zrzuconych na Hiroszimę. Tak więc zrozumiałe są słowa Jana Pawła II, który powiedział niedawno w Paryżu, że realne zagrożenie całej ludzkości wymaga od wszystkich bez wyjątku chrześcijan — niezależnie od prezentowanej przez nich ideologii — maksymalnego zaangażowania w sprawę rozbrojenia. Za przyczynę obecnego stanu rzeczy uważa papież upadek wartości moralnych, zaniedbanie w procesie wychowawczym aspektu „człowieczeństwa”, wyalienowanie się nauki od jej właściwego celu

i nieprzerwany wyścig zbrojeń. Papież przypomniał nam słowa skierowane przez ostatni sobór do naszego rozdartego świata: „Jedną z najcięższych ran ludzkości stanowi wyścig zbrojeń, a wyrządza on głównie szkodę ubogim. Istnieją poważne obawy, że pewnego dnia przyniesie śmiertelne zło. Wystarczające środki ku temu już istnieją i zostaną użyte, jeżeli nie podejmie się jakichś konkretnych działań” (*Konstytucja Pastoralna*). Podobnych przestróg papieży, synodów i biskupów jest bardzo wiele. Wszystkie one świadczą, że dla Kościoła pokój jest zadaniem ciągle aktualnym, jest owym obowiązkiem miłości, o którym przypomina on człowiekowi.

Dlaczego jednak to wołanie o pokój przynosi tak marne owoce? Dlaczego ludzie pozostają głusi? Z pewnością wielu myśli: Ci na górze i tak robią, co zechcą, albo też: „Równowaga strachu” nie jest złą, ponieważ wyraźnie pokazuje, że w wypadku konfliktu musieliby zginąć wszyscy. My jednak powinniśmy sprzeciwić się tej przepełnionej fatalizmem rezygnacji. Pokój w świecie tylko wtedy będzie zapewniony, gdy wszyscy ludzie — nie tylko główni dysponenci siły — gotowi będą codziennie na nowo uczyć się pokoju. Do tego potrzeba jednak odnowionego etosu pokoju, który sprawi, że każdy człowiek będzie się czuł za niego odpowiedzialny. To na pewno miał na myśli Albert Einstein, wypowiadając swe znane słowa: „Problem naszych czasów nie tkwi w bombie atomowej, lecz w ludzkim sercu”. Musimy angażować się cierpliwie i konsekwentnie w wiele spraw: w walkę o godność człowieka i sprawiedliwość, w zwal-

czanie głodu, tortur i ucisku, w walkę o wolność, prawa człowieka i rozbrojenie. Musimy dążyć do tego, by nasze społeczeństwo było otwarte i gotowe do pomocy innym grupom ludzi i innym narodom.

Chrześcijanin jest w pełni świadom, że dążenia te nie zostaną w pełni zrealizowane. W żadnej godzinie swego istnienia świat nie osiągnie stanu doskonałej sprawiedliwości i pokoju. Świadomość tego nie powinna jednak powodować rezygnacji. Powinna stanowić bodziec do poszukiwania pokoju wolnego od iluzji.

Chrystus pokazuje swoim uczniom, że pokój jest możliwy do zrealizowania.

W końcu trzymajmy się przekonania, że jedynie wiara sprawić może, by wszyscy ciemnicy — ci, którzy stanowią zagrożenie dla pokoju, — zyskali pełnię człowieczeństwa. O tę wiarę trzeba się jednak modlić. Modlitwa za ludzkość, za silnych i bezsilnych, czerpie swą moc z obietnicy Jezusa — podobnie jak każda modlitwa proszalna. Połączmy więc naszą pracę na rzecz pokoju z codzienną modlitwą o pokój. Wtedy zamieszka w nas nadzieja na lepszą przyszłość, na prawdziwy postęp.

## „IDŹCIE I NAUCZAJCIE WSZYSTKIE NARODY”

Zdarzyło się to zaraz po wojnie w jednym z niemieckich miast. Pewien człowiek wszedł do zbombardowanego kościoła i podszedł do ołtarza. Odłamki granatów i uderzenia kamieni spowodowały, że z całej figury ukrzyżo-

wanego Chrystusa pozostał tylko korpus. Chrystus był pozbawiony rąk i nóg. Pod krzyżem wisiała karteczka z odręcznym napisem: „Chrystus ma teraz tylko nasze ręce, by móc kontynuować swoje dzieło. Ma tylko nasze nogi, by móc poprowadzić człowieka swoją drogą. Chrystus ma już tylko nasze usta, by móc opowiedzieć o sobie. I tylko z naszą pomocą może przyciągnąć do siebie człowieka”.

Te wzruszające słowa dotyczą zarówno Chrystusa jak i nas. Nie znaczy to wcale, że Syn Boży stracił moc zbawczą — czyż nie obdarował On nowym życiem napiętnowanej śmiercią ludzkości? Poprzez krzyż i zmartwychwstanie skierował do świata swoje „tak”. Dokonał aktu zbawienia raz na zawsze i dla wszystkich.

Nie pozwala On jednak swym uczniom na powściągliwość w tej kwestii. Wysła ich w świat: „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody” (Mt 28, 19). Wprowadzając na tym świecie swoje panowanie i dając ziemi swą miłość, chce mieć w swych uczniach partnerów. Chce, by szerzyli radosną nowinę. Pragnie, by nieśli Jego obietnicę i głosili Jego miłosierdzie. „Idźcie i nauczajcie wszystkie narody” — wezwanie to nie odnosi się jedynie do kilku zapaleńców, lecz do wszystkich uczniów Pana, do całego Kościoła Chrystusowego. Mamy być rękami Chrystusa i czynić Jego dzieło. Mamy być stopami Chrystusa i prowadzić ludzi Jego drogą. On nas wysła, byśmy sprowadzali wszystkich ludzi na Jego stronę.

Chcę powtórzyć raz jeszcze: Misja ta dotyczy wszystkich chrześcijan. Nie jest ona żadnym specjalnym programem dla zakonów mi-

syjnych ani działalnością jedną z wielu. Nie ma charakteru „dekoracyjnego”. Misja ta jest przeznaczeniem Kościoła. Albo jesteśmy Kościołem misyjnym, albo nie jesteśmy Kościołem w ogóle. Św. Augustyn napisał: „Jeśli chcesz miłować Chrystusa, to pozwól swej miłości rozprzestrzenić się w całym świecie”. Także Drugi Sobór Watykański mówi w swoim dekrecie misyjnym: „Cały Kościół ma charakter misyjny, a obowiązkiem podstawowym ludu Bożego jest prowadzić dzieło ewangelizacji. W związku z tym Święty Synod wzywa wszystkich do głębokiej wewnętrznej odnowy — by świadomi własnej odpowiedzialności za upowszechnianie Ewangelii, mieli swój udział w dziele misyjnym sprawowanym pośród wszystkich narodów”.

Nie myślmy, że ludzie nie zechcą nas ani naszego posłania! Jeśli wyłożymy im Ewangelię w przekonujący sposób, bez żadnych roszczeń z naszej strony, to pozdrowią nas tak jak apostołów: „Jak piękne stopy tych, którzy zwiastują dobrą nowinę!” (Rz 10, 15 b). Takie słowa powiedzą pewnego dnia byli chrześcijanie naszego od dawna już niechrześcijańskiego Zachodu. Zeświecczenie, charakterystyczne dla naszych czasów, które chce pozostawić człowieka bez Boga, stoi w obliczu bankructwa. W świecie bez Boga człowiek krąży niczym w wybiegu dla zwierząt. Pozbawiony nadziei porusza się w zamkniętym kręgu. Na ziemi, której obce jest już niebo, jego życie będzie coraz bardziej banalne i nudne. Z czasem pojawi się pytanie, czy ta ludzka przyгода nie trwa już wystarczająco długo i czy nie czas ją zakończyć?

Takich natrętnych pytań nie możemy pozostawić bez odpowiedzi — i tu właśnie jest miejsce dla naszej misji. Teraz nasze usta muszą stać się ustami Chrystusa. Musimy powiedzieć człowiekowi, że niebo i ziemia połączyły się w Chrystusie, że złączył On Boga z człowiekiem, że wskazał nam sens naszego życia, że wiemy już, skąd przychodzimy i dokąd zmierzamy.

„Jak piękne są stopy tych, którzy zwiastują dobrą nowinę!”. To samo powiedzą wszyscy ci, którzy nie są jeszcze chrześcijanami. Stanie się tak, gdy przyniesiemy im wieść, że Bóg jest naszym Ojcem, a my jako Jego dzieci, jesteśmy braćmi. Wiele plemion żyje jeszcze z obrazem Boga groźnego, który nie jest symbolem radości i zaufania, Boga, przed którym kulą się w ciągłym strachu. Ludzi tych powinniśmy poprowadzić ku chrystusowej wolności i prawdzie. Musimy dać im odczuć prawdziwą miłość, która pozwoli im żyć.

Ta zbawcza służba nie wyklucza pomocy materialnej. Żądanie Jezusa, by nakarmić głodnych i odziać nagich, jest składową częścią chrześcijańskiej misji. Posłanie do wszystkich narodów zawiera w sobie troskę o całego człowieka. To częste rozróżnianie pomiędzy misją a pomocą materialną można przewyciężyć, gdy spojrzy się na cel wszelkiego kościelnego posłannictwa. Cel ten to panowanie Bożej miłości, która wyzwoli całego człowieka — uwolni od złych mocy i obdaruje życiowymi szansami, sprawiedliwością, pokojem, szczęściem oraz wspólnotą z Bogiem i partnerstwem ze wszystkimi ludźmi.



Nie musimy tracić odwagi, nawet gdy walka o chrześcijański świat wydaje się być chwilowo przegrana. Nie potrzebujemy wątpić, nawet gdy jedyną reakcją ludzi na nasze misjonarskie zaangażowanie jest protekcyjny uśmiech. Nie ma powodu do rezygnacji, nawet jeśli głosiliśmy Ewangelię w niedoskonały sposób. Pocieszenie niosą nam ostatnie słowa Jezusa: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20b). Nie my wprowadzamy Królestwo Boże, lecz Ten, któremu „dana jest wszelka władza w niebie i na ziemi” (Mt 28, 18) i który przyobiecował, że zostanie z nami aż do końca. Do końca to, co rozpoczął.

## NIE OPUSZCZAJCIE RĄK

Rezygnacja, podobnie jak smutek, to często trudny do ominięcia stan przejściowy. Każdy z nas przekonał się już z pewnością, iż nie mogąc osiągnąć określonego celu, musi zrezygnować i pozostać w punkcie wyjścia. Kto żyje utopią i wierzy, że może urządzić i przeżyć raj na ziemi, musi pozwolić otworzyć sobie oczy. Kto założył, że postęp nie ma granic, musi zmienić swoje wyobrażenia. Takie ustępstwa są potrzebne. Tego typu rezygnacja może być naprawdę sensowna i stanowić będzie stadium przejściowe w naszym dążeniu do zaakceptowania rzeczywistości. Jej celem jest zmiana orientacji.

Co jednak będzie, gdy ktoś nie może już sobie dać rady z rzeczywistością? Co stanie się, gdy rezygnacja stanie się permanentnym

stanem? Podobnie jak trwały smutek, tak samo trwała rezygnacja paraliżuje osobowość. Odbiera zdolność do życia i wpędza w depresję. Trwała beznadzieja i smutek to postawy zgubne. Za takie też uważane były zawsze w tradycji chrześcijańskiej.

Rezygnacja jako stan trwały podobna jest do choroby psychicznej. Raz jeszcze przypomina: rezygnacja jako stadium przejściowe, nie jest czymś negatywnym; czasami może być nawet niezbędna. Także życie chrześcijan zna kryzysy i chwile bezsilności. Zapominamy często, że w tym jednak leży nasza szansa. Rozpacz niszczy bowiem iluzję, że to my sami, o własnych siłach możemy zyskać zbawienie. Pozostawieni samym sobie, jesteśmy rzeczywiście skazani na niepowodzenie. Tak długo, jak długo nasze życie nieprzerwanie będzie kierowało się ku śmierci. Jeśli zdani będziemy tylko na siebie, to zwątpienie musi nadejść, najpóźniej w obliczu śmierci. Jednak to zwątpienie nie może być ostateczne. Czyż zapomnieliśmy już, że ciemność Wielkiego Piątku musiała ustąpić przed światłością wielkanocnego poranka? Śmierć napotkała kogoś potężniejszego od siebie — ukrzyżowanego Jezusa, który żyje. Cały Nowy Testament daje świadectwo temu, iż na krzyżu wszystko dopiero naprawdę się rozpoczęło, a nie skończyło. Dla Jezusa i dla nas.

Wielkanocne doświadczenie powinno wyzwolić nas z tego zniechęcenia, któremu nie możemy podołać w oparciu o własne siły. Rezygnacja jako stan trwały nie może być losem chrześcijanina. „Wyprostujcie opadłe ręce i osłabłe kolana” (Hbr 12, 12) — zachęca

nas list do Hebrajczyków. Na czym ma jednak bazować ta nasza nadzieja? Jezus Chrystus — pierwszy spośród zmarłych — stoi ze wzniesionymi rękami i mówi nam: „A oto Ja jestem z wami przez wszystkie dni, aż do skończenia świata” (Mt 28, 20b).

Dlatego też wiara chrześcijańska tak zdecydowanie walczy z beznadzieją. Kto „urządza się” w beznadziei, nie chce już być takim, jakim chce go widzieć Bóg — człowiekiem z przyszłością, człowiekiem, którego życie udaje się mimo wszelkich niepowodzeń, człowiekiem, który wbrew wszystkiemu zdobywa się na nadzieję. Kto rezygnuje z nadziei, decyduje się na zatracenie. „Zwątpić, to znaczy zstąpić do piekieł” powiedział Izydor z Seville. Jezus Chrystus nie chciał nas jednak skazać na piekło; pragnął wyzwolić nas do nowego, spełnionego życia, do nieba.

## KOŚCIÓŁ — WSPÓLNOTA LUDZI PEŁNYCH NADZIEI

Z wydarzenia, jakim był krzyż i zmartwychwstanie, wyrósł Kościół jako wspólnota ludzi ufających. W Kościele tym możemy być ludźmi, którzy akceptują granice swych możliwości, nie popadając przy tym w wątplenie; ludźmi, którzy wiedzą, że Bóg, nasz Ojciec, umiłował nas i przez łaskę „udzielił nam niekończącego się pocieszenia i dobrej nadziei” (2 Tes 2, 16) — jak pisze apostoł Paweł. Kościół jest właśnie ojczyzną nadziei.

Ale: Czy jesteśmy na tyle odważni, by oprzeć się niosącej zniszczenie rezygnacji? Czy

nie stało się po prostu modą ciągle mówienie o zniechęceniu, lękach, regresie i rezygnacji — tylko dlatego, że niektóre nasze własne oczekiwania, często egoistyczne, wydają się niemożliwe do spełnienia? Tym, którzy wzajemnie zarażają się i paraliżują ciągłym lamentowaniem, dobrze zrobiliby, gdyby zastanowili się nad słowami wypowiedzianymi na Synodzie Biskupów w Republice Federalnej: „Świat nie potrzebuje pomnażania beznadziei...; przeciwnie, poszukuje przeciwwagi, owej wybuchowej siły, którą niesie nadzieja żywa”.

Nadzieja w centrum naszego życia — to droga do przewyciężenia rezygnacji. Jak nią jednak żyć? Poczuwając się do wspólnoty z Bogiem w stworzonej przez Niego rzeczywistości i przybliżając swoimi staraniami świat do jego dopełnienia, mając w sobie jednocześnie nadzieję na nowe niebo i nową ziemię. Naszej czynnej nadziei wychodzi naprzeciw przyszłe, pełne łaski spełnienie.

Jako partnerzy Boga i Jego lud możemy kierować świat ku dobru i dążyć, by po każdym zakręcie historii wprowadzony został zbawienny porządek. Odnosi się to również do współczesnych przełomów, których złożone problemy dadzą się rozwiązać jedynie dzięki wielkiej cierpliwości. Czy jednak bywało w historii inaczej? Czyż każda generacja nie musiała odważnie wejść w ciemność, ufając Bożej obietnicy o Jego przy nas trwaniu? Spójrzmy na ludzi z naszego otoczenia, których obecność sprawia szczególną radość. Oni ufnie podejmują się swoich zadań. Obejmują nas, gdy się lękamy. Dodają nam odwagi, gdy nie wiemy, co dalej robić.

Pomyślmy o chrześcijanach, którzy są dla nas przykładem, o świętych — poczynając od apostołów! Ich niezachwiany optymizm posiadał wielką moc promieniującą na całe otoczenie, na kraje i kontynenty. Oni zmienili świat. Teresa z Lisieux raz jeszcze odkrywa pewnemu misjonarzowi źródło, z którego czerpali swe siły: „Chcę ci powiedzieć jak masz żeglować po burzliwym morzu tego świata: Oddaj się Bogu i kochaj jak dziecko, które wie, że Ojciec je lubi i nie opuści w godzinie trwogi”.